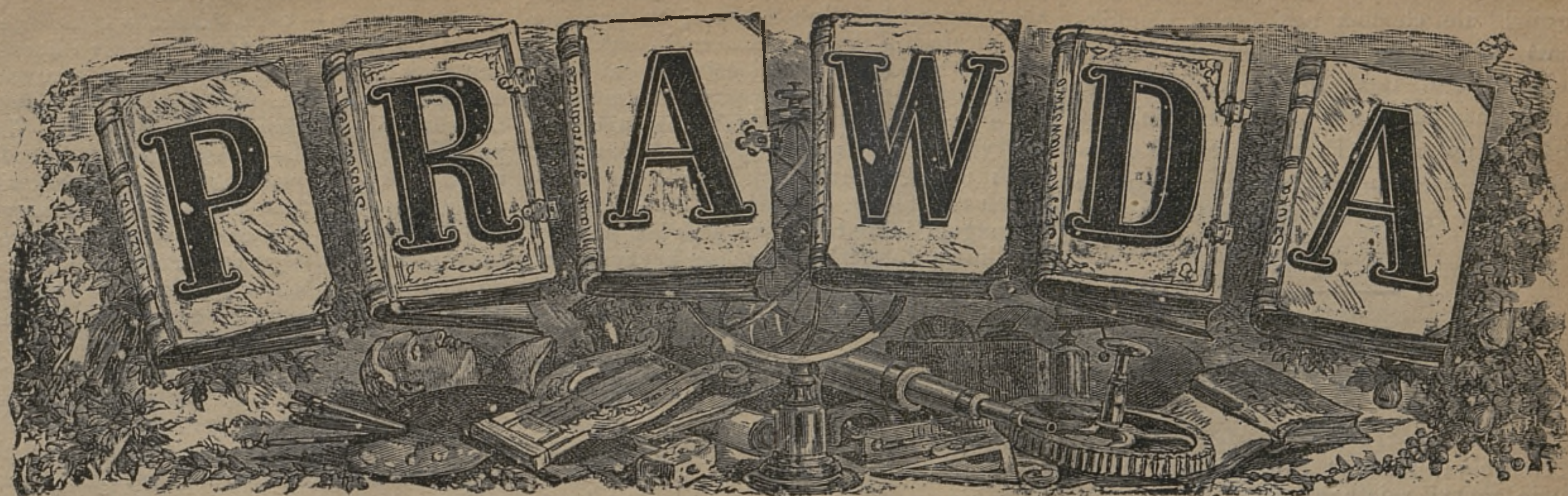
№ 28. Warszawa, dnia 14 (2) Lipca 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach. w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

OBFITY POŁÓW.

Chociaż od chwili aresztowania Kraszewskiego upłynęło sporo czasu, sprawa nie wyjaśniła się wcale. Codziennie poczta przynosi nam nowe wiadomości, już to mniej, już więcej pomyślne, gubimy się w mnóstwie przypuszczeń, domysłów— i oczekujemy światła... od sądów pruskich. *Il y a des juges à Berlin.* Pomimo służalstwa, coraz bardziej rozwielmożniającego się w „państwie prawa," wierzymy w urzędową przynajmniej sumienność sądów niemieckich i spokojnie oczekiwać możemy ich wyroku. Czy na Kraszewskim cięży wina i w jakim stopniu?—*Prawda* wypowiedziała już swe zdanie w tym względzie, ale jeszcze jest druga strona sprawy, na którą właśnie zwrócić chcemy uwagę czytelników.

Jakie pobudki działać mogły w aresztowaniu Kraszewskiego? Gazety nasze gotowe są upatrywać w tym fakcie prostą zemstę, ponieważ Kraszewski był zdecydowanym nieprzyjacielem gospodarki pruskiej w Niemczech. Znaną jest drażliwość i pieniacka żyłka Bismarka, pociągającego przed kratki dziennikarzy i profesorów, za mniemaną obrazę jego osoby; ale w danym wypadku przypuszczenie to niema żadnej racyi, gdyż osobistym, bezwzględnym nieprzyjacielem kanclerza Kraszewski nigdy nie był. Nie mógł być również groźnym dla rządu niemieckiego przeżyty, schorzały starzec, mający prawda, szlachecką słabość do polityki, ale nawet w gronie najgorętszych wielbicieli swego talentu—za męża stanu nie uważany wcale. Nie, nic dla tego władze pruskie zdecydowały się na głośny skandal, który poruszył całą Europę; dla pozbycia się Kraszewskiego, dosyć było nakazać mu wyjechać z granic państwa, a materyały do projektowanego dzieła o stosunkach politycznych i wojennych w Niemczech, jako czerpane ze źródeł urzędowych, nie miały w oczach rządu powabów zakazanego owocu.

Ale Kraszewski, literat i dyletant polityczny, był zarazem moralnym przedstawicielem, ulubionym mężem polskiego narodu, był ogniskiem, w którem schodziły się i krzyżowały różnorodne myśli, plany, prądy, ożywiające nasze społeczeństwo. W nim jednym ześrodkowało się niejako życie umysłowe i polityczne milionów. Wszystkim wiadomo, jak olbrzymią prowadził korespondencyę, wiadomo również, że wszystkie ważniejsze listy w porządku chował i swoje odpowiedzi w kopiach do nich dołączał. Ludzie najrozmaitszych przekonań, przedstawiciele różnych warstw społecznych szukali u niego życzliwej rady, poparcia albo krytyki. Przecież nawet socyaliści polscy, jak wykryło śledztwo, przesyłali mu swoje wydawnictwa. To też nic dziwnego, że archiwum jego, po skonfiskowaniu, zaledwie pomieszczono w dwóch wagonach. Teraz cała ta korespondencya tanim kosztem dostała się w ręce władz pruskich.

Czyż każdemu nie nasuwa się przypuszczenie, że rybak warciński umyślnie zamącił wodę sprawą o zdradę państwa, aby zarzuciwszy sieć pozornie na jedną rybę, wyciągnąć tak obfity połów? Gratka taka rzadko się zdarza. Korespondencya Kraszewskiego jakiż to bogaty materyał do charakterystyki naszego społeczeństwa, jakaż to wyborna informacya o najtajemniejszych sprężynach i celach polskich działań! Zręczny operator jednem cięciem odkrył nasz mózg i serce — stoimy przed nim nadzy, bezbronni, zmuszeni grać odtąd w odkryte karty — nieznając wcale kart przeciwnika.

Od dziś rząd niemiecki straszną broń ma przeciw nam w ręku. Może nam nakazać milczenie, pozbawić nas sprzymierzeńców, upokorzyć, zawstydzić, złamać nasz upór.

Nie chodzi tu o jakieś ukryte spiski, o podziemne roboty polityczne: takich śladów w polskiem życiu i w najtajniejszych zwierzeniach dziś nikt nie wynajdzie. Ale najniewinniejsi ludzie mają swe tajemnice. Wymagania urzędowego stanowiska lub taktyki parlamentarnej (stosujemy to zwłaszcza do polaków, poddanych pruskich i austryackich) zmuszają ich do czasowego ukrywania swoich projektów lub zamiarów.

Są wreszcie sekrety rodzinne, niewinne same przez się, a jednak starannie ukrywane przed okiem obcych. Ów trybun rzymski, który pragnął żyć w szklanym domu, był raczej bezwstydnym cynikiem, aniżeli człowiekiem nieposzlakowanej prawości. Pomijając występki, za które grozić może kara, mamy swoje słabostki, swoje rachunki domowe, swoją brudną bieliznę wreszcie, którą chcemy prać w domu, a nie pod obcem, nieprzychylnem okiem. Czyż najuczciwszy nawet kupiec zgodzi się na publikacyę swoich ksiąg lub korespondencyi handlowej? Dopiero w razie popełnionego przestępstwa sąd bada księgi i rachunki. Nam zbrodni żadnej zarzucić nie mogą, a mimo to brutalny wzrok żandarma pruskiego sięga do najgłębszych tajników naszej duszy narodowej. Najuczciwsze pomysły, które jednak do powodzenia wymagają pewnej tajemnicy, najdrażliwsze szczegóły wyjdą wkrótce na jaw. Przeszkód rząd niemiecki nie znajdzie — ma on urzędników, wybornie z językiem polskim i stosunkami obeznanych, a zresztą za pieniądze znajdzie dość usłużnych polaczków, którzy potrzebnych informacyj nie poskąpią. Dziś już może w arsenale berlińskim zrabowane łupy przekuwają na nowy oręż przeciw nam, lub na tarczę zasłaniającą rząd od pocisków posłów poznańskich. Czy

znajdziemy odpowiednią broń do walki — wątpię; ale chociaż nas czeka nieunikniona klęska, lepiej przygotować się do niej zawczasu. Bezbronny przewidzianego nawet ciosu odbić nie potrafi, ale niekiedy uniknąć go może. Przeświadczenie o konieczności strasznej katastrofy odejmuje jej połowę grozy — przygotujmy się więc... *J. L. P.*

ZGON GABINETU TEATRALNEGO.

„Non bis in idem...“ Sprawdził to przysłowie motyli zaiste żywot tak zwanego komitetu artystyczno-literackiego, który wskrzeszony powtórnie przed czterema miesiącami, skonał niedawno, ogłosiwszy memoryał ku wiecznej rzeczy pamiątce... Tę magistraturę teatralną utworzyła pierwotnie, pod hasłem anty-samowładczym, poprzednia dyrekcya. Zebrali się najprzód w wielki komitet artystyczny kierownicy wszystkich działów teatru, oraz wybrani z grona literatów i miłośników sztuki. Z tego wielkiego komitetu, który podobno raz czy dwa razy tylko obradował, wyłonił się niebawem, drogą wyborów, komitet mały, złożony z czterech mężów zaufania, którzy mieli łącznie z reżyserem i dyrektorem teatrów sterować rydwanem dramatu, to jest wybierać sztuki, rozdawać role i kontrolować artystyczną gorliwość wykonawców. Ów parlamentaryzm teatralny niekoniecznie, jak utrzymują wtajemniczeni, płynął z zamiłowania ku republikańskim zasadom, które w świecie teatralnym są niepraktyczną mrzonką i mogą tylko utworzyć babiloński chaos zawiści, intryżek i ambicyjek. Chodziło o zjednanie sobie popularności, a nadewszystko o skaptowanie wodzów i szeregowców zastępu dziennikarskiego, śledzienników, co, wedle utartego wyrażenia, lubią „wyzwierzać się na teatr.“ Scena w naszych stosunkach przedstawia szerokie pole do gderania i wyrzutów, których można sobie pozwolić do syta: ten pan pojął dane miejsce zbyt patetycznie lub chłodno, ta pani źle się ubrała lub zanadto szczerzyła ząbki, to krzesło stało na niewłaściwem miejscu. Takie i tym podobne kwestye, nie mówiąc już o literackich i estetycznych stronach krytyki, stanowią główny żywioł nieustannych uwag, lamentacyj, nawet przemądrych traktatów. Niezależnie od słusznych wymagań, jakie teatrowi stawiać należy, szpilkowa dokuczliwość naszej krytyki bywa czasami nieznośną, tembardziej, że żółć, w której zoilowie maczają swe stalówki, zawiera w sobie dużo czysto osobistych kwasów. Powołanie więc dygnitarzy i naddygnitarzy prasowych do uczestnictwa w parlamencie teatralnym, było podobne do pieśni, którą Orfeusz głaskał drapieżnych cerberów. Już w dniu urodzin owego gabinetu widać było, że niezbyt jasno zdawano sobie sprawę, czem ma być to nowe ciało rządzące, a przy wyborach (powiedzmy nawiasem) głosy nieumiejących ani słowa po polsku, baletmistrzów lub dyrektorów orkiestry, dawały podobno przewagę powołanym do steru mężom zaufania. I stało się w teatrze warszawskim to, czego nieznalazłbyś może na całym świecie, pod żadną szerokością i długością geograficzną. Kierunek najważniejszych spraw teatralnych powierzono ludziom, będącym poza teatrem, usuwając z zasady specyalistów, oprócz przedstawicieli władzy. W najpierwszych teatrach zagranicznych, w takiej np. „Comédie Française,“ pierwszorzędni nawet autorowie dramatyczni, oddając swe utwory na scenę, przechodzą przez zbiorowy sąd grona aktorów, którzy mają prawo rzucić czarną gałkę. Kto zna zresztą tajemnice i prawa ruchu zawiłej machiny teatralnej, jeżeli nie z praktyki, to choćby np. z takich pamiętników Laubego, ten wie, że ster sceniczny powinien być sprężysty i najzupełniej samowładny. Kierownictwo *fachowe* energiczne, spokojne, bezstronne, umiejące panować nad całym rojem ambicyjek i zawiści, popierające rozwój talentów twórczych i wykonawczych, nieubłagane dla pretensyonalnych miernot, noszące wysoko swą godność moralną i nieuginające się, jak trzcina, za lada podmuchem faworu lub niełaski, kroczące nareszcie w świadomym i dobrze wytkniętym kierunku — taka władza w rękach jednostki doświadczonej, estetycznie i literacko rozwiniętej, byłaby jedynym sprawcą dzielnego rozwoju, pożądanym motorem najważniejszego działu naszej sceny. Tę prawdę pojmowała u nas oddawna racyonalna krytyka, podczas gdy w rzeczywistości kierownictwo artystyczne, spoczywające niegdyś wyłącznie w rękach reżysera albo fachowego dyrektora scenicznego, bezsilne wobec warunków zewnętrznych, traciło nieopostrzeżenie swą uprawnioną autonomię. Ów brak silnej władzy specyalnej, zbrojnej w potrzebną sprężystość i możność płodnej inicyatywy. — to błąd chroniczny, to jedna z największych klęsk naszej sceny. Nieraz bowiem zachodzi potrzeba postanowień szybkich, natychmiastowych, puszczenia w ruch jakiej nowości ponętnej, obiecującej kasowe plony — a w takich razach krępuje działanie wielość instancyj i brak tego zaufania, jakiem zwierzchnicza władza obdarza fachowych kierowników, pomnażając przez odpowiednie atrybucye ich energię wykonawczą. Nawet najlepsze chęci reżysera nie poradzą, jeżeli znajduje się on w opłakanym stanie człowieka, któremu kazano pływać z przywiązanemi do rąk i nóg ciężarami— jeżeli dla utrzymania się na stanowisku, a więc dla praktycznych, czysto ludzkich powodów, musi lawirować i kołować wśród przeróżnych stosuneczków. Utworzenie więc komitetu literacko-artystycznego nie było środkiem, mogącym wywołać jednolitą a pomyślną na danem polu energię. W stosunkach scenicznych zresztą wprowadzenie, czy zbliżenie do zarządu kilku nowych osób wpływowych przedstawia tę niedogodność, że pomnaża zaraz liczbę pokątnych zabiegów, wytwarza instancye opiekuńcze, do których się garną ambicyjki intrygantów i miernot, wierzących bardziej w potęgę protekcyi, niż w talent i pracę. Moralna przytem siła każdej nowej władzy czy urzędu polega na jasnych, dobrze określonych atrybucyach, których komitet wcale nie posiadał. Ludziom, wybranym do oceny utworów literackich (*cabinet de lecture*), przedstawiano zrazu do oceny kwestye nawet karne, i nikt sobie

---

[1])

Małżonkowie Mistress Skaggs.

Bret-Harte'a.

Pierwsze słońca promienie zaledwie zaświeciły nad doliną, gdy na wschodniej stronie gór wierzchołki złociły się już od godziny. Dla osób, przybyłych dyliżansem z Placerville, dzień zaczął się był nominalnie od dwóch godzin. Pomimo to, chłodna, bezrośna noc kalifornijska zalegała w najlepsze *kanony* i zręby zagłębień górskich; nawet na gościńcu ostre powietrze przypominało podróżnym potrzebę ogrzania się. To też zaspany, poziewający patron gospody, wczas zajął miejsce za kantorkiem z butelkami i kieliszkami.

Wypadałoby zatem powiedzieć, że się w Angel—w gospodzie najwcześniej zbudziło życie, gdyby w obrzeżających gościniec sykomorach, świegot ptactwa nie był uprzedził szczęku szkła w izbie gospody. U sufitu lampa skwiercząc, dymiąc, migocąc, dogorywała, wyczerpana całonocnem trwaniem, a tuż pod nią, na kulawym fotelu, siedzący hulaka, słaniał się, bełkocąc niewyraźnie, bez związku słowa, a lampa i bibosz tak dalece w chwili tej licowali ze sobą, że skoro tylko dzienne brzaski obiły się o szyby okien, patron gospody, współczuciem, czy też instynktem przyzwoitości wiedziony, pośpieszył oczyścić izbę i z lampy i z pijaka.

Tymczasem słońce wzbijało się w górę. Przeskoczywszy przez grzbiet gór, sypnęło na Angel rozżarzonych promieni krocie, szybko podnosząc temperaturę do dwudziestu stopni Reaumura, rozpalając piasek i wdzierając się pomiędzy jodły, najeżonym pancerzem, pokrywające gór biodra. Pasażerowie, siedzący w górnej części dyliżansu, uznojone twarze, niby w chłodzącej wodzie, nurzali w aromatycznym cieniu jodeł.

Wjeżdżając do Angel, konduktor dyliżansu zwykł był popuszczać lejce, i nie żałując bicza, szkapy swe zmuszał do biegu, w jakim przedstawiane bywają na ogłoszeniach kompanii dyliżansów. Wówczas na twarzy Yuby Billa występował jawniej wyraz mrukliwej wzgardy dla wszystkich i dla wszystkiego, a ku większemu zapewne zaimponowaniu publiczności, olśnionej szybkim biegiem rumaków, z podwojonem lekceważeniem zdawał się spełniać czynności swego zawodu. Najodważniejsi chyba ośmielali się zaczepiać markotnego woźnicę.

Tym razem, w dostojeństwie swem odwagę czerpiąc, sędzia Beeswinger, członek Zgromadzenia Narodowego, zagadnął pierwszy.

— Cóż tam słychać z polityki?

— A cóż tam do dyabła ma być słychać—odmruknął Bill, złażąc powoli z wysokiego kozła dyliżansu — to chyba, że prezydent Stanów Zjednoczonych nie wie dotąd, iż się uchylacie od teki... co zresztą pogrąża Stany w nieutulonym żalu.

Drwiny i grube żarty były w Angel na porządku dziennym, i koncept woźnicy nie wywołał ani śmiechu, ani obrazy. Bill wszedł do gospody, śród ogólnego milczenia, aż tu dopiero patron, zapewne w celu ożywienia rozmowy, zagadnął:

— Czyście nie przywieźli czasem agenta z Fresco?

Yuba Bill zdawał się namyślać, stojąc przed kantorkiem.

— Nie — odrzekł — agent musi otrzymać upoważnienie banku angielskiego dla wejścia w układy z Johnsonem.

Ów wzmiankowany Johnson i za drzwi gospody o świcie wyrzucony pijak — byli jedną i tąż samą osobą. Ponieważ zaś domyślano się powszechnie, że nie tak to bardzo kapitaliści pokwapią się wchodzić w układy z pijakiem, obejrzano się na niego, wyczekując, czem odeprze zaczepkę woźnicy? Zataczając się na nogach, Johnson zbliżał się do stołu z zapewnieniem, że gotów wychylić „kropelkę.“ Przyznać trzeba, że Bill nie wywiódł go z błogiego mniemania: skinął na patrona i trącając kieliszek o kieliszek pijaka, przyjazne wyrażił życzenie:

— Jednym klinem więcej w twej trumnie!

Czemu zawtórował śmiech ogólny i chóralne:

— I ostatni włos z twej głowy!

Bill do dna wychylił kielich i stawiąc go z brzękiem na kantorku, zawołał:

— Hej! kapitanie!

Apostrofą tą zmieszany, chłopak cofnął się z izby, przystanął na progu, zaklopotany ocierał czapkę o drzwi, niby o boje-

nie zdawał sprawy, jaki miał być jego stosunek ze świeżo mianowaną godnością dyrektora artystycznego. Wynikło stąd naturalnie starcie się dwu władz. W bardzo krótkim czasie komitet, utworzony pod hasłem bratniego sojuszu sceny z kilkoma koteryami dziennikarstwa, okazał się dla teatru niewygodnym. Dano mu tedy gorzką pigułkę w postaci zalecenia, aby wyroki swe opierał na mocy opinii wszystkich osób, do rady powołanych, — dotknięci zaś członkowie areopagu, widząc w tem pewien rodzaj ubliżającej admonicyi, usunęli się z widowni. Już jednak wtedy komitet zebrał się był do opracowania regulaminu (który określając ściśle prawa i obowiązki artystów, miał być podwaliną nadwątlonej w teatrze karności) i przystąpił do przejrzenia nagromadzonego stosu rękopisów. Jak twierdzą wtajemniczeni w jego kolizye z władzą wykonawczą, ostatnia miała z natury rzeczy praktyczną przewagę, jako bezpośrednia przewodniczka, obeznana ze wszystkiemi tajnikami zakulisowego świata, stanowiącemi ukryte sprężyny działania. Po zgonie komitetu dyrekcya mogła się przekonać, że był on istotnie łącznikiem zgody między światem kinkietów a dziennikarską bibułą, na którą pracownicy sceny lubią wygadywać, czując jednak jej potęgę. I zaczęły się sypać gradem krytyki, pełne ostrych pocisków, potępiając w czambuł całą szkołę teatralnych kierowników. Gromada puszczyków literackich zaczęła hukać na zgubę sceny, a w tej lub owej koteryi błąkały się potwarcze wieści, głoszące, że liczni „doradzcy“ teatralni, bawiąc się w walenrodyzm, prowadzą naumyślnie do zguby instytucyę, ponieważ dobrze im zapłaciła za to jakaś nieznana kompania, co pragnie teatr „wziąć w arendę...“

Za obecnej dyrekcyi wznowiono komitet i powołano go do bardziej organicznej działalności, uzupełniwszy skład przez wybory, dokonane w łonie pozostałych jego członków. Ponieważ usunął się był niegdyś z grona komitetu p. Sarnecki a potem i p. Sienkiewicz, więc trzej dawniejsi członkowie (pp. Kaszewski, Bogusławski i Lubowski) wezwali natomiast pp. Szymanowskiego i Gawalewicza, ale pomimo tych nowych nabytków, komitet skończył swą działalność tem, że sam uznał się za zbyteczną przyczepkę do teatralnego organizmu. A jednak działalność jego mogłaby istotne przynieść owoce, gdyby mu nadano ściślej określone atrybucye. Specyalny reżyser sceniczny, obarczony nadmiarem zajęć, zyskiwał rzeczywistą pomoc w opinii ludzi, bądź co bądź, estetycznie wyrobionych. Ograniczenie działalności komitetu do sądzenia sztuk byłoby wyjaśniło jego zadanie, nadało właściwy kierunek jego czynnościom i włożyło nań obowiązek spełniania pewnego wydziału pożytecznej pracy. Ale na nieszczęście komitet miał wytknięte szersze zadanie, to jest organiczną pracę nad podniesieniem poziomu pierwszej sceny polskiej, a dla godnego spełnienia tej roli nie miał sił odpowiednich. Nadano mu prawo rozdziału ról i kontroli biegu repertuaru oraz nadzoru nad artystycznem wykonaniem; ale były to atrybucye nader chwiejne, w praktyce okazało się, że komitet, obradujący raz na miesiąc, musiał często zgodzić się na zmianę swych postanowień, wywołanych przez niespodziewany zbieg okoliczności. Aby kontrola była skuteczną, utworzono nową funkcyę — delegata, który miał wespół z reżyserem spełniać odpowiednie obowiązki i stanowić jego zwierzchniczy nadzór. Gdyby istotnie delegatowi temu nadano pełne atrybucye i władzę dyrektorską, wtenczas mógłby on się stać skuteczną dźwignią kierowniczą i dzielnie popychać naprzód rydwan dramatu.

Czy komitet w zakresie możliwości spełnił swe zadanie, jak należało? Jeżeli chcemy sprawę osądzić bez koteryjnych względów i zawiści, bez rzucania na wiatr gołosłowych pochwał lub zapalczywych potępień, trudno będzie na pytanie to z całą stanowczością odpowiedzieć. Piszący te słowa nie czuje specyalnych powodów do ronienia łez żalu nad mogiłą gabinetu teatralnego, i nie należy do tych „oponentów z zasady,“ którzy z rozkoszą piastowaliby godność radzców komitetowych, dyktując prawa gromadzie „komedyantów.“ Zdaleka słuchając gwaru teatralnych rewolucyj, możemy tylko sądzić na podstawie spełnionych faktów, które nie dają powodów do namiętnej chwalby, ani ryczałtowych potępień. W czasie działalności komitetu repertuar Teatru Rozmaitości zasilany był dość obficie, chociaż poziom jego widocznie się nie podnosił. Z dzieł oryginalnych, oprócz „Pięknej,“ którą przygotowała dawniej reżyserya, nie można zanotować żadnej nowości, któraby zyskała wybitne powodzenie, chyba, że zaliczymy do nich efektowną „Tancerkę,“ częściowo zapożyczoną z włoskiego oryginału. Z dzieł tłomaczonych odgrzebano dramat Feuilleta „Dwa światy,“ trochę już podstarzały; wprowadzono też na scenę parę świeższych nowości, jak: „Cudzoziemiec,“ „Świat zabawy,“ „Wiek niewdzięczny.“ Komitet (jak opiewa sprawozdanie) przygotowywał dzieła większych rozmiarów, ale stawały mu na przeszkodzie względy praktyczne i panujący obecnie systemat oszczędności, który nie pozwalał na wprowadzenie w czyn wielu jego projektów. Nie przynosi natomiast zaszczytu komitetowi wybór wielu błahostek do repertuaru Teatru Małego, owych tuzinkowych farsideł francuskich; przyznać jednak należy, iż krzycząco słaby personel dramatyczny tej scenki nietylko nie pozwalał na wybredność literacką, ale nie mógł podnieść na scenie głupstewek, których cały efekt polega na osłonięciu przez zręczną szarżę ich wewnętrznej nicości.

Ostatniemi czasy poziom sztuki wykonawczej chylił się u nas ku upadkowi; ale przyczyną tego był głównie ubytek współczesny wielu celnych sił aktorskich, o co nie można oskarżać komitetu, ani znowu na karb jego zasług kłaść postępy pomyślnego rozwoju niektórych jednostek. Wpływ jego widoczny był w ilościowym ożywieniu repertuaru, ale, jak opiewa sprawozdanie, okazał się bezsilnym, gdy chodziło o podniesienie artystycznego poziomu sceny. Z powodu względów finansowych nie udało się komitetowi ani zapewnić dopływu bieżących nowości zagranicznych z pierwszej ręki, ani obfitego przyrostu sztuk oryginalnych. Prace, podejmowane koło podniesienia poważnego dramatu, oraz poziomu sztuki w Teatrze Małym, dla tych samych powodów pozostały projektami (notujemy ten szczegół na podstawie dobrych

---

tnie, podczas gdy na licach płonął żywy rumieniec i z pod rzęs spuszczonych wybłyskiwały niecierpliwe spojrzenia. Osiemnastoletni ten chłopiec wyglądał o wiele młodziej, tak drobnym był i delikatnym, tak dziecięca naiwność i figlarność rozlaną była na aniołkowatej jego twarzyczce.

Znano go w Angel, i czy to pod nadanem mu przez Billa mianem *kapitana*, czy pod użyczonem przez przybranego ojca nazwiskiem „Tom Islington“—był przedmiotem częstych gawęd, domysłów, komentarzów. Jego krnąbrność, hultajstwo, a zwłaszcza, wielce mieszkańcom Angelu podejrzana, uprzejmość, wywoływały śród osadników częste dyskusye. Większość, a w tej liczbie poważni ludzie, przepowiadali mu stryczek; inni, mniej szanowani przeważnie mieszkańcy osady — lubili go, nie wiele sobie robiąc z jego przyszłości. Zresztą w tamtych stronach stryczek—nie nowina i... nie tak to znów bardzo rzecz straszna.

— Czy nie przywieźliście tam czego dla mnie — pytał chłopak głosem takim, jak gdyby się skłaniał do znanych sobie żartów woźnicy?

— Nic a nic — odpowiedział ten ostatni z przybraną surowością — i mówię ci to chłopcze, nie czekaj niczego, dopóki wałęsać się tu będziesz, hultaju. dotrzymując towarzystwa moczywąsom. Umykaj!

Zamierzył się butelką, chłopak uciekł, a Yuba Bill posuwał się ku drzwiom ociężale.

— Niech go — zawołał — ot, już i powlókł się za tym przeklętym Johnsonem!

— Czego się to on spodziewa — spytał patron gospody?

— Ej, jakiegoś tam listu od cioci dobrodziejki. Nie doczekanie jego! Błazen! Hultaj!

— Co hultaj, to hultaj, wałęsa się po całych dniach—zauważył sędzia.

Bill zmarszczył się; prawo wymyślania na chłopca uważał za służące wyłącznie jemu samemu.

— Zapewne — mruknął kwaśno — wałęsa się, wyczekując, aż mu jakie zajęcie łaskawie obmyśli konstytucya.

Powiedziawszy to, kiwnął głową patronowi; wdział olbrzymie, nadające ruchom jego sztywny, drewniany pozór, łosiowe rękawice i wyszedł z gospody, nie oglądając się na nikogo; rzuciwszy potem w powietrze od niechcenia: „jazda!“ —wlazł na kozieł, zebrał lejce i zaciął konie.

Tem lepiej; w gospodzie bowiem zawrzała gawęda, niepochlebnie brzmiąca dla Toma i jego domniemanej rodziny. Utrzymywano, że owa ciocia rodzoną była mamą, lecz wuj nie rościł praw do zaszczytnego z nim pokrewieństwa; twierdzono, że przybrany ojczulek Islington, musiał być wielu rzeczy świadomym, gdyż otrzymywał, jak wiadomo, subsydya...

— Rujnuje się na jego wychowanie — zauważył patron gospody, świadom rachunków Islingtona; na co obecni wybuchli ogólnym śmiechem, a patron unikając płonnych dyskusyj, oddał się z podwojoną gorliwością obsłudze zebranych gości.

Tem lepiej, że Bill odjechał i nie widział w tej chwili swego gagatka, Toma, który podtrzymując słaniającego się na nogach, potykającego się o kamienie pijaka, Johnsona, wiódł do „corralu“ przy gospodzie, gdzie była studnia i koryto do pojenia trzody. W milczeniu, stosując się wyraźnie do ustalonego zwyczaju, dopomógł mu zrzucić surdut i chustkę z szyi, odwinąć kołnierz, i kiedy Johnson zwiesił głowę nad korytem, ujął za rękojeść pompy. Przez chwil kilka słychać było tylko plusk wody. Gdy Tom przestał pompować, Johnson obmacał głowę tak zupełnie, jak gdyby nie należała do niego, pytające przytem spojrzenie zwracając na drobnego swego towarzysza.

— Udała się sztuka?—spytał Tom, dorozumiewając się, o co idzie.

— Sztuka—ponuro powtórzył pijak—po wszystkiem już! — sztuka!

Jeśli słowo to oznaczać miało zmianę, jakiej uległ, przyznać trzeba, że wybornie użytem było. Dopiero co pod pompę szła ogromna głowa, najeżona opylonemi, krzewiastemi włosy, twarz czerwona do siności, nabrzmiała; oczy na wierzch wylazłe, krwią nabiegłe. Z pod pompy wyszła głowa mniejsza, innego wcale kształtu, zlgnącemi do czaszki, ciemnemi włosami; twarz o policzkach zapadłych, zczerniałych, bladych, o oczach błyszczących, niespokojnych; twarz znędzniała, nerwowem drganiem poruszana, w niczem niepodobna do bachusowej, w wodzie gdzieś utopionej maski. Tom, chociaż przywykł do zmian tych nagłych, z pewnym niepokojem spoglądał na swego towarzysza.

Wąska ścieżka, śród brzóz i olch, piaszczystym szlakiem wijąc się u stóp Table

informacyj); były one jednak przedmiotem narad w obszerniejszem gronie artystów i członków tego komitetu. Aby ocenić, co komitet zrobił dla uporządkowania materyału repertuarowego, należałoby specyalnie przeglądać jego protokóły, spoczywające w niedostępnem dla profanów przybytku. Jeżeli wszakże owocem jego działań jest utworzenie regulaminu, przejrzenie nagromadzonych rękopisów, wydzielenie plew literackich i zakwalifikowanie na scenę pewnej sumy wartościowych utworów, to przyznać należy, iż taka działalność nie była bezpłodną. W zamęcie teatralnych plotek trudno osądzić, o ile działalność tę paraliżowała prywata i wysługiwanie się osobistym względzikom. To pewna, że zakorzenialym nałogom protekcyjności komitet nie mógł przeciwdziałać dość skutecznie, że nie umiał zatrudnić niektórych wybitniejszych sił wykonawczych; chociaż korzystny wpływ jego odczuto w podziale pracy i wydobyciu na wierzch kilku zdolnych jednostek. Wpływ ten byłby jeszcze skuteczniejszym, gdyby nie drobne słabostki, które nie szkodząc sztuce, nadwerężyły przecież moralną powagę dostojnego grona. Jeżeli wierzyć mamy sylfom, szepczącym w lot podsłuchane tajniki, energia członków komitetu nie była wcale jednakową. Jedni naprawdę przychodzili reżyserji z pomocą w odczytywaniu i poprawianiu rękopisów; drudzy wszczynali ciągłe swary o osobiste krzywdy, wytaczając na stół żółciowe pretensye; inni wreszcie zadowalniali się wygodną rolą figurantów, dźwigających brzemię swej godności. Trudno przeniknąć, jakie były powody gremialnego ustąpienia komitetu; trzeba jednak przyznać, że umiał postawić dobrze gabinetową kwestyę i zamknąć swe akta z godnością, podając za przyczynę tego stanowczego kroku odmowę w sprawie dopłaty do honoraryum za sztuki oryginalne. Postulat to był godziwy i słuszny, a spełnienie go w tej lub innej formie, podniosłoby tylko urok pierwszej sceny polskiej, nadając jej tę cywilizacyjną żywotność, jaką posiada każdy teatr, krzepiący twórczość oryginalną. Wobec niskiej normy honoraryów scenicznych, dramatopisarstwo nie może być u nas fachem, jak we Francyi, ale często bywa dla ludzi pióra kosztowną rozrywką, odrywającą ich od zajęć zarobkowych. Że zgon swój komitet zaznaczył obroną twórczości oryginalnej, to może być tylko jego zasługą; chociaż praktycznie rzecz rozważając, mógł nie brać do serca odmowy i pracować dalej skromnie, pomagając scenie zdolnościami swych członków, a oczekując na wybrnięcie teatru z finansowych kłopotów. Pracę taką może podjąć dobrowolnie kilku ludzi, miłujących sztukę i literaturę krajową bez tworzenia komitetów i komisyi, których praca ogranicza się na wypracowaniu pięknych, ale bezpłodnych referatów. Wśród krytycznego położenia naszej sceny potrzebną jest działalność rzutka, szybka, samodzielna, nie wlokąca się z trudem przez szeregi sesyj, narad i głosowań. Dzisiejsze kierownictwo, dbając o koszta finansowe, musi być rozumnie oportunistyczne. Trafnie więc zrozumiał komitet, że w obecnych warunkach jego istnienie, jako ciała zbiorowego, jako odpowiedzialnej reprezentacyi interesów wyższej sztuki i literatury jest niewłaściwem i wypowiedział sam wielką prawdę, że kolegialność nie może zastąpić energii pojedynczych, odpowiednio wybranych kierowników. Upadek jego dowodzi jasno niepraktyczności reform, podejmowanych w teatrze według metody biurowej, wykazuje jałowość nieskończonych robót komisyj i podkomisyj, mnożących tylko czczą pisaninę. Scenie naszej potrzeba jednak reformy, którąby odświeżyła jej zatęchłą atmosferę i złamała narowy starej rutyny, ale reforma ta może tylko polegać na nowej organizacyi artystycznego sterownictwa, na wytworzeniu nowych sił *fachowych* nie zaś na wątpliwych próbach artystyczno-literackiego parlamentaryzmu. Wszakże żywym przykładem dla naszej sceny są pierwszorzędne teatry zagraniczne, w których naczelny ster spoczywa w dłoni biegłego dyrektora, kierując fachową pracą kilku reżyserów, albo kolejno pełniących tę funkcyę artystów. Pomoc literatów i znawców sztuki chętnie jest tam widziana, jako głos doradczy, ale nikt nie myśli o tworzeniu rządów w rządzie. o wkładaniu literackich kijów między szprychy kół teatralnego wozu, który, będąc ciągniony przez jednego mierzynka, dalej zajedzie, aniżeli kareta, gdy do niej woźnica wprzęże kilku wierzchowców, nieumiejących chodzić w szorach lub chomontach.

K. S.

KONGRES DZIENNIKARZY W ZURYCHU.

4 lipca.

Prasa szwajcarska oddawna już wyczekiwała stosownej chwili dla uorganizowania się w pewną całość i zjednoczenia w związek, celem zapewnienia swym pracownikom materyalnego bytu na przyszłość, co niewątpliwie wpłynęłoby korzystnie na jej rozwój. Urzeczywistnienie tej idei należy do komitetu centralnego wystawy, który uznał za stosowne wezwać nietylko przedstawicieli prasy szwajcarskiej, ale i zagranicznej. Zjazd ten posiadał charakter międzynarodowy powierzchownie tylko; w obradach bowiem nad założeniem związku dziennikarzy przyjmowała udział wyłącznie prasa krajowa; zagraniczni zaś jej przedstawiciele byli jedynie świadkami narodzin tego młodego związku. Mieli oni zarazem sposobność przekonania się o żywotności szwajcarskiego ducha, zdolnego nietylko do walk za swobodę, lecz i do walk z zagranicznem współzawodnictwem na polu przemysłowem. Przez nadzwyczaj gościnne przyjęcie cudzoziemców stara respublika dała dowód, że nie uznaje tradycyonalnych przesądów, rozdzielających narody. Na jej gruncie wyrósł międzynarodowy związek poczt, telegrafów, międzynarodowe stowarzyszenie czerwonego krzyża, chciałaby ona teraz, jak to wypowiedział jeden z mówców kongresu, profesor Born z Bazylei, ażeby na tymże gruncie mógł powstać międzynarodowy związek prasy.

Prasa szwajcarska liczyła 54 przedstawicieli na kongresie, zagranicznych zaś reprezentantów było stosunkowo niewielu, gdyż zaledwie 45. Z pomiędzy tych ostatnich, prasa niemiecka reprezentowana by-

---

Mountain, oplatała „corral“ lekkim cieniem. Lecz przyjaciołom naszym śpiesznie było wyjść na słońce. Kilkaset uszli kroków, gdy szybko postępujący Johnson, przystanął nagle:

— Hę?

— Nie mówiłem nic — odparł spokojnie Tom.

— Kto powiada, żeś mówił — odrzekł Johnson z przebiegłym wyrazem twarzy. Wiem, że nikt nie mówił, ani ty, ani ja także. Co ci się to stało?

Błyszcząca w oczach chłopca wesołość znikła. Zbliżając się do starego, ujął go za ramię.

— Naturalnie, żeś nie mówił, Tom — wypraszał się Johnson łagodnie. Tyś nie taki mój chłopcze! Nie stroiłbyś sobie żartów ze starego moczywąsa. Nie stroiłbyś, co, prawda? To też pokochałem cię od razu, od razu poznałem się na tobie i powiedziałem: Johnson, znalazłeś wspólnika! Chłopak ten nie nadużyje twego zaufania; polegać możesz na nim, polegać więcej, niż naprzykład na tym tam, szynkarzu. Hę?..

Tom milczał, a Johnson ciągnął.

— Polegać mogę na tobie, Tom, nie będziesz stroił ze mnie żartów, nie nadużyjesz zaufania? Jeśli cię spytam o co, powiesz mi prawdę, nie oszukasz... Hę?

— Nie oszukam — odrzekł chłopiec.

— Jeśli cię spytam naprzykład — ciągnął, wodząc do koła błędnem okiem, ze wzmagającem się ust i rąk drżeniem — jeśli cię spytam, czy przebiegł dopiero tędy królik srokaty, powiesz prawdę: przebiegł, czy nie przebiegł? Powiesz, nie oszukasz starego? Hę?

— Nie — odrzekł Tom — nie oszukam, srokaty królik przebiegł istotnie.

— A czy miał na głowie... ot, tak naprzykład, zielony, z żółtemi wstążkami kapelusz? Nie oszukasz mię, powiesz prawdę: czy nie miał?

— A jakże, miał.

— Miał, mówisz?

— Miał — twierdził bez zająknienia Tom — kapelusz zielony, wstążki żółte i... aha! i czerwone kwiaty.

— Czerwone kwiaty, mówisz — rzekł z zastanowieniem, lecz o wiele spokojniejszy Johnson—kwiaty czerwone... Nie widziałem, nie dostrzegłem... dziwnie.. lecz to bynajmniej nie dowodzi, żeby ich nie było, hę?

Tom wzniósł spokojne na towarzysza spojrzenie. Duże krople potu wystąpiły na czoło pijaka, woda spływała z opadłych na kołnierz włosów, ręka spazmatycznie ściskająca dłoń chłopca, zimna była i wilgotna, druga zwisała, poruszana konwulsyjnem drganiem, niby do zepsutego jakiegoś należąca mechanizmu. Tom zmusił pijaka usiąść na kłodzie, a wypadek ten wykazywał władzę, jaką drobny, delikatny dzieciak posiadł był nad ponurym, zdziczałym, nienormalnie podnieconym mężczyzną.

— Ej, Tom!—wybuchnął stary głośnym, lecz nie wesołym i nie dźwięcznym śmiechem. Śmiechem tym spłoszona, pierzchła jaszczurka mała, co z pod kłody wystraszonemi oczami spoglądała na ludzi. —Ej, Tom, dziwnie to jakoś wygląda, srokaty królik w kapeluszu, hę?

— Ha — nie tracąc rezonu, odparł chłopak — czasem noszą kapelusze, czasem nie. Kto to może wiedzieć! Takie to sprytne te bestye! Tu z większym zapałem, niż zoologiczną ścisłością, począł bajać niebywałe dziwy o kalifornijskiej faunie. Johnson niecierpliwy, ponury wzrok wlepiał uparcie w ziemię.

— A węże, Tom, węże?—przestraszonym szeptem przerwał opowiadającemu.

— O, węże—rzekł Tom—węże nie kąsają nigdy, przynajmniej ten gatunek, który tu widzisz, wuju Ben, nie kąsa nigdy, nie bój się, bądź spokojny! Ot, niema już ich, uciekły! Wuju, pora zażyć lekarstwo.

— Na te słowa porwał się z miejsca Johnson, i miał już pień przeskoczyć, gdy go uprzedził Tom, i ujmując za rękę, podał z kieszeni wyjętą flaszę. Johnson zatrzymał się, nieśmiało, niedowierzająco spojrzał na flaszę, w drżące ujął ją palce.

— Jeśli już tak koniecznie chcesz...? Ale słuchaj, powiesz „dosyć,“ powiesz?

Flaszę do ust podniósł, pociągnął... Dosyć! — zawołał Tom, i Johnson zmieszany, zawstydzony oddał mu flaszę natychmiast. Twarz się staremu zarumieniła nieco, wzrok uspokoił, na ramieniu Toma wspierająca się ręka nie tak drżała.

(D. c. n.)

ła przez 16 dziennikarzy, austryacka przez 4, węgierska przez jednego, francuska przez 5, włoska przez 5, rosyjska przez 5, polska przez jednego (tygodnik *Prawda*), rumuńska przez 2 i amerykańska przez 6. Z polskich gazet tylko *Czas* krakowski i *Gazeta Narodowa* lwowska otrzymały zaproszenia na kongres; nie raczyły jednak nawet na nie odpowiedzieć.

Właściwe posiedzenie kongresu odbyło się 2 lipca. Dwa dni poprzednie poświęcone były wspólnym zabawom, bankietom, wycieczkom parostatkiem do regat międzynarodowych na jezioro Zurychskie i koleją żelazną na górę Uetli. Wspaniała iluminacya jeziora nadzwyczaj przyjemną była dla przybyłych gości niespodzianką, obrazem, jak niektórzy mówili, wyjętym z *Tysiąca i jednej nocy*.

Serdeczne przemówienia, jakiemi witano przedstawicieli prasy, liczne wywoływały oklaski. Pułkownik Vögeli, członek centralnego komitetu wystawy, widzi w prasie szóste mocarstwo, profesor Born zaś, redaktor *Baseler Nachrichten*, nazywa ją niewolnictwem, gdyż ona jest tylko echem opinii publicznej, wyrazem społecznego życia narodu. Profesor Droz nazywa prasę „électriciens de la civilisation.“ Radca rządowy Stössel chciałby, ażeby prasa zwróciła się więcej ku „prostemu człowiekowi,“ któremu zawdzięczamy nasz byt społeczny, starając się odrysować rzeczywiste jego znaczenie i stan, podobnie jak to uczynił Wincenty Vela, rzeźbiarz turyński (*Prawda*, Nr. 25 — Wystawa szwajcarska); stanowi to jej obowiązek. Obok produktów pracy na wystawach międzynarodowych reprezentowany być powinien także wykonawca tychże produktów — robotnik, jego położenie materyalne i warunki hygieniczne jego życia. Obok wolności prasy, chciałby mówca widzieć wolność pracy; prasa winna się domagać zniesienia granic celnych i propagować solidarność wzajemną oddzielnych narodów.

Na właściwem posiedzeniu kongresu, trwającem od godziny 2 do 6 popołudniu (2 lipca) pod prezydencyą radcy stanu Gengel'a redaktora gazety *Der Freie Räthier* z Chur, radca narodowy Curti, redaktor gazety radykalnej *Zürcher Post* mówił o obecnym stanie prasy szwajcarskiej i o położeniu dziennikarzy. Co do ilości zagranicznych depesz telegraficznych, szwajcarskie gazety ustępują większym gazetom kontynentalnym. Najdrobniejsze natomiast wiadomości krajowe przesyłane bywają drogą telegraficzną. Centralne zatem biuro prasowe dostarczaćby mogło wszelkim gazetom depesz zagranicznych w większej ilości (obecnie ich dostarczają agencye telegraficzne).

Stempel dziennikarski nieznany jest w Szwajcaryi; wszystkie jednak gazety opłacać muszą pewien podatek. Związek prasy krajowej mógłby czynić starania, ażeby gazety opodatkowywano podług ilości drukujących się w nich anonsów. Zniżenie ekspedycyjnej taksy pocztowej np. na $1^3/_4$ cent. (obecnie 2 centy) od egzemplarza wpłynęłoby korzystnie na rozwój prasy peryodycznej. Doścignąć tego może tylko uorganizowany związek dziennikarzy.

Człowiek, pracujący całe życie na polu dziennikarskiem, umiera często w nędzy, pozostawiając żonę i dzieci na igraszkę losu. Potrzeba więc zająć się urządzeniem odpowiednich kas wsparcia, na wzór istniejących już w Frankfurcie, w Wiedniu („Concordia“ posiada około miliona złr.) i in. Na zakończenie stawia mówca trzy następne wnioski, urzeczywistnienie których uważa za konieczne dzisiaj, mianowicie:

1. Zebrani w Zurychu, dzięki centralnemu komitetowi wystawy, dziennikarze szwajcarscy tworzą związek prowizoryczny w celu popierania interesów pisarzy i wybierają komitet z 7 członków dla wypracowania w ciągu roku odpowiednich ustaw.

2. Komitet ten upoważniony jest do podania petycyi do Rady związkowej, w celu zmiejszenia ekspedycyjnej taksy pocztowej.

3. Komitet upoważniony jest również do zbadania stosunków prasy krajowej i do ułożenia projektu kasy wsparć, który to projekt przedstawiony będzie na następnym zjeździe wszystkich dziennikarzy szwajcarskich, najpóźniej za rok od dnia dzisiejszego.

Dr. Widmann, jeden z redaktorów *Bund* berneńskiego, chociaż jest indywidualistą, nie sprzeciwia się jednak założeniu takiego związku. Związek taki zapobiegać może szerzeniu fałszu w prasie peryodycznej. Włosi hodują pewne drzewa nie dla owoców, lecz dla przeszkodzenia rozwojowi malarii. Nie tylko wolność powinna panować pośród gór, lecz także i prawda.

Według profesora Born'a związek dziennikarzy jest koniecznie potrzebny. Telegrafy, roznoszące dzisiaj wieści, tyczące się interesów monarchij, komunikować nam będą sprawy społeczne, bliżej nas obchodzące. Drukarnie, które dziś pracować muszą dnie i noce dla korzyści monopolistów, dla zbieraczów pieniędzy, pracować będą dla szerszego koła ogółu.

Frey, redaktor *Neue Zürcher Zeitung* radzi, zamiast utworzenia prowizorycznego związku, mającego istnieć do przyszłego kongresu, zaraz przystąpić do uorganizowania związku wszystkich dziennikarzy całej Szwajcaryi. Wniosek ten odrzucono.

Na wniosek Bonjour'a, redaktora *Revue* z Losanny, petycya (wniosek 2 Curti'ego) ma być podpisana przez wszystkich redaktorów Szwajcaryi.

Profesor Umiltà z Neufchâtel, przedstawiciel gazety *Les Etats-unis d' Europe*, żali się, iż dziennik ten, wydawany w Genewie, zagranicą więcej jest znany, niż w samej Szwajcaryi, pomimo, że propaguje zasady konfederacyi i żąda zastowania ich w całej Europie. Następnie nowy stawia wniosek, uzupełniający trzy powyższe; t. j. założenie centralnego biura informacyjnego, mając głównie na uwadze drobną prasę. Wniosek pozostawiono decyzyi komitetu.

Do komitetu wybrano następnych dziennikarzy: Gengel'a, Curti'ego, Born'a, Widmann'a, Reynier'a, korespondenta *Journal de Genève*, Mordasini'ego, redaktora *Il Dovere* z Lugano i Bonjour'a.

Kongres zakończono bankietem na cześć zagranicznych gości i iluminacyą parku wystawy.

Mowy i toasty witały narodzenie się oddawna oczekiwanego związku prasy, przeplatane podziękowaniami przedstawicieli prasy zagranicznej za serdeczną gościnność zarządowi wystawy i kolegom szwajcarskim.

Dr. A. Złotnicki.

Jan Kochanowski

(w wydaniu pomnikowem*).

Chlubimy się w gronie słowian i ludów europejskich bogatem piśmiennictwem belletrystycznem XVI, XVIII, XIX-go stulecia, obdarzając tytułami „książąt“ Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza; chętnie uczymy się na pamięć tych utworów, w których brzmią czystsze, lub wogóle głośniejsze tony lutni narodowej, przedrukowujemy je, skracamy, oceniamy; ale na wierne, pilne, opatrzone dobremi komentarzami wydanie oryginałów zdobyć się nam nie pozwala... arcysłusznie osławione, olbrzymie lenistwo polskie. Ci, co „przed narodem niosą oświaty kaganiec“, i ci, co pragną jego uczucia społeczne ku zbogaceniu własnego trzosa wyzyskać — odświeżają często różne karty z roczników twórczości rodzimej; ale jak *odświeżają?*... Oto poddają nadewszystko wybrańca — niezbędnej operacyi obrzezania, mając wzgląd na młodzież, kobiety i wszystkie stany, powołane do roli wychowawczej; — a potem każą mu przejść przez piekło ślepej korekty, gdzie wyrazy, zdania całe i ustępy jużto wypadają, jużto, niby członki delinkwenta, wziętego na tortury, są w najcudaczniejszy sposób karykaturowane. Przyglądając się temu widowisku, możnaby przypuszczać, że miłość pamiątek ojczystych, wielkie uczucie, któremu tak demonstracyjnie ołtarze stawiamy, jest tylko widmem, cieniem, maską, lśniącym pokrowcem, osłaniającym szpetną nagotę ciasnego egoizmu... Może w mniemaniu podobnem tkwi jakaś cząstka prawdy; ale główne źródło pobłądzeń wydawniczych tak głęboko nie leży: stare niedbalstwo, wspierane uwagą pseudo-postępową, że „w wieku pary i telegrafów z wyrazami i zdaniami liczyć się nie trzeba“ — to samo niedbalstwo, które świeci cynicznie łachmanami logiki, gramatyki i stylu z łamów całego prawie zastępu gazet naszych, — jest matką cudactw, przeplatających obficie tkaninę wszystkich niemal, pojedynczych i zbiorowych reprodukcyj literackich. Wobec takiego stanu rzeczy „wydanie pomnikowe“ dzieł Jana Kochanowskiego, wierne a umiejętne, uważać należy za jedno z tych rzadkich zjawisk, którym się należy niezwykłe uznanie i najzaszczytniejsze miejsce w rocznikach publicystyki. Odtwarza ono całą postać duchową śpiewaka czarnoleskiego, na podstawie pierwszych wydań (z roku 1579, 83, 84, 85 i 90), przy świetle pochodni, jakiej tylko dzisiejsze językoznawstwo i filologia dostarczyć może. Tom pierwszy zamyka w sobie: 1) *Przedmowę*, 2) *Psałterz Dawidów*, 3) Sześć, przepisanych na klucz dzisiejszy, melodyj Mikołaja Gomółki, do psalmów Kochanowskiego, 4) Dwie księgi *Pieśni*, 5) *Pieśń Świętojańską o Sobótce*, 6) *Pamiątkę Janowi Tęczyńskiemu*. Na równiankę tę złożyło się pięciu filologów-lingwistów i jeden muzyk. Najważniejsza część pracy przypadła w udziale Adamowi Antoniemu Kryńskiemu, komentatorowi *Psałterza*. Wykonał też on podjęte zadanie z właściwą sobie, drobiazgową a nielekceważącą idej ogólnych, sumiennością: dopiski jego są prawdziwą skarbnicą mitologicznych, słownikowych, gramatycznych uwag, — wstęp zaś przedstawia wyborną informacyę bibliograficzną i wyczerpującą, ocenę niemal, wszechstronną, choć treściwą przedmiotu. Do najbardziej zajmujących składników tej pięknej rozprawy zaliczamy: oznaczenie stosunku zależności Kochanowskiego od Lubelczyka, Wróbla, Trzecieskiego i Reja, oraz dowodne wykazanie, iż najznakomitszy w Polsce tłómacz arcydzieła poezyi starożydowskiej trzymał się nie „wulgaty“, „lecz tekstu łacińskiego, zgodniejszego w szczegółach z pierwowzorem hebrajskim“. Podobnym, choć znacznie skromniejszego rozmiaru elaboratem jest praca nad *Sobótką*, Piotra Chmielowskiego, w której widzimy — z jednej strony skróconą reprodukcyę obszerniejszej rozprawy tegoż krytyka (pomieszczonej w *Tyg. Ilustr.* za r. 1875), z drugiej — wynikowe zamknięcie sporu, zawiązanego niegdyś między autorem *Dwu Sobótek* (*Tyg. Ilustr.*), mianującym utwór Kochanowskiego wiązanką pieśni naśladowniczych (według wzoru Tybulla, Propercyusza, Owidyusza i Horacego), a Janem Rymarkiewiczem, głosującym wymownie (patrz: *Pieśń Świętojańska*,

*) *Dzieła wszystkie*, tom I, Warszawa, 1883.

w *Ateneum*. r. 1876) za oryginalnością i ludowym kolorytem sielanki.

Wielką też ścisłością naukową odznaczają się, dołączone do *Pamiątki*, objaśnienia utalentowanego mitologa-lingwisty, Jana Karłowicza, oraz komentarz pierwszej księgi *Pieśni*, ułożony przez dobrego znawcę polszczyzny, Tadeusza Włoszka. Z pomiędzy całostek, składających piękną mozaikę, wyróżnia się ujemnie *przedmowa*, a poniekąd i opracowanie drugiej księgi *Pieśni*. Rozdźwięk ten, wśród harmonijnego koncertu tonów, niemiłe na myślącym czytelniku sprawia wrażenie. Już w pierwszym ustępie razi nas nie dość usprawiedliwione zaakcentowanie głównej jakoby inicyatywy p. Romana Plenkiewicza, w sprawie wydawnictwa dzieł Kochanowskiego. Trudno zaprzeczyć, że p. R. P. „rzucił" przed pięciu laty „myśl" boską, że w pamiętnej godzinie 78-go roku wypowiedział słowo, które dziś ciałem się staje. Ale kiedy on je drukiem ogłosił? — Oto wtedy, gdy wszyscy światlejsi czytelnicy a wielbiciele Jana z Czarnolasu, szczególniej zaś wychowańcy wydziału filologicznego b. Szkoły Głównej warszawskiej — głęboko odczuwali tę potrzebę, wobec bliskiej rocznicy stuletniej, przypominając sobie często, na widok wydania Breslauerowskiego, jakie to żale, zaprawione szlachetną ironią, wydobywały się z piersi czcigodnego Profesora, ilekroć przyszło mu zacytować wyrazy, skażone w fabrykacie „*wydawców ze Świętojurskiej ulicy*..." Rzeczywistym też, jak mniemam, inicyatorem, oraz pierwszym wykonawcą pomysłu jest dzisiejszy kierownik komitetu wydawniczego, zasłużony autor książki o Janie Kochanowskim, wyszłej na jaśnią w r. 1862, a więc na kilkanaście lat przed pojawieniem się w literaturze imienia pana R. P. Całe szczęście młodego filologa na tem jedynie polega, że w danej porze innych ubiedz zdołał. Ale mniejsza o to: nie broniąc, pilnemu skądinąd pracownikowi uważać się za Bertholda Szwarca, pokrzywdzonego na korzyść Rogera Bakona, wracamy do przedmowy.

Możnaby sądzić, że autor nie zdaje sobie jasno sprawy z zasadniczego celu wydawnictwa; główny punkt bowiem, do którego dąży, znajduje się poza granicami możliwości. „Takie zresztą wydanie (powiada on) może *przenieść obecne pokolenie* (!) w sferę uczuć i pojęć, czasom odrodzenia właściwych i *związać życie umysłowe z ideałami*, które pulsując czysto swojskimi pierwiastki, mają nadto powszechno dziejowe znaczenie". *Myślą* w ubiegłe czasy przenosić się wprawdzie możemy, zwłaszcza gdy je dobrze a wszechstronnie z *różnych* źródeł poznamy; do takiego wszakże wtajemnienia się w charakter epoki „wydanie pomnikowe" dzieł *jednego* pisarza bynajmniej nie wystarcza... Skądinąd, pomysł czy marzenie o wyjściu z warunków danej doby (boć duchem dwu chwil dziejowych równocześnie oddychać nie można) i przyswojeniu sobie choćby najwznioślejszych ideałów minionego wieku — jest szalone i niewykonalne... Ale autor nie uznaje widać postępowego ruchu w historyi: dla niego Jan z Czarnolasu pisze językiem „prawie dzisiejszym", — a wypowiadane przez poetę „myśli, krzepią i podnoszą całe pokolenia, falami czasu płynące, ostrzegając je głosem Sybili, iż takie jedynie sprawy godne są myślącego człowieka, które, *nietylko ludzie na ziemi, ale i Bóg na niebie za wielkie i ważne poczyta*". Czy Kochanowski odgadł wszystkie myśli Boże, a szanowny autor *przedmowy* posiada zmysł do kontrolowania harmonii między sądami Boga a sprawami człowieka, nie wiemy; to jednak pewna, że żadne dotychczasowe systemy religijne (nawet politeistyczne) nie równają człowieka z Bogiem; skąd wypływałby wniosek, że dla „człowieka myślącego" wielkiem i ważnem być może to, czego Bóg, jako istota wyższa, za wielkie i ważne nie poczytuje. Owe zaś „pokolenia, falami czasu płynące" (przyznasz Szanowny Panie) rodzą się — więdną lub dojrzewają — umierają wreszcie, pozostawiając potomnym, w spadku po sobie, swe dodatnie i ujemne dorobki. Przypuśćmy nawet, iż postęp *ku lepszemu* jest mżonką w historyi. Lecz siła faktów dowodzi, że co się dziadom podobało, wnuków już często nie zadowalnia... Nie ubliżymy więc Kochanowskiemu, jeżeli uważać go będziemy za znakomitego poetę — ale tylko *w granicach wieku*. Błędnem jest też mniemanie autora, „że *ogół* nie okazuje dotąd zamiłowania w dziełach zygmuntowskich pisarzy *dlatego*, iż nie jest w możności z dotychczasowych wydań, należycie ich rozumieć"... Pożądaną zapewne i bardzo użyteczną dla narodu rzeczą byłoby mieć bibliotekę pisarzów zygmuntowskiego wieku, złożoną z takich, jak obecne, wydań: zaznajomiłaby go ona niezawodnie z odległą przeszłością i posłużyła do rozwiązania wielu zagadnień chwili obecnej; powiększyłoby się też bezwątpienia grono badaczów; ale szerszy ogół, przystępując kiedy niekiedy do tej komunii duchowej, okazywałby pewno bodaj, czy nie takie samo w niej zamiłowanie, jak dzisiejszy literat warszawski — w studyach nad Wirgiliuszem lub Homerem, najlepszemi opatrzonym komentarzami. *Tempora mutantur*...

Rozumowania autora *przedmowy* grzeszą wogóle brakiem ścisłości logicznej, stylem, lekceważącym tu i owdzie elementarną zasadę harmonii (np. „zaimek zwrotny *we* wszystkich utworach występuje *w* nich *w* formie *sie*"), kulejącym nawet językiem (np. „odznacza się *więcej czystszym* i wyrazistszym drukiem"), co wszystko razem niemiły stanowi dysonans w układzie artykułów pomnikowego wydania.

Komentarze, dołączone do wtórej księgi *Pieśni*, jakkolwiek podciągnięte pod rygor jednego kierunku i metody, mają tę charakterystyczną właściwość, że się powtarzają (np. wzmianka o *Orfeuszu* — na str. 313 i 325; mniemane objaśnienie wyrazu *stróna* — na str. 321 i 324); że przytem błędną nieraz lub niedokładną przedstawiają informacyę *). O dopiskach w wydaniu pomnikowem to wogóle powiedzieć można, iż często są zbyteczne **), że więc znaczna ich liczba (mianowicie objaśnienia leksykograficzne, które znaleść się powinny w układanym przez A. A. Kryńskiego słowniku), mogłaby być usunięta bez szkody umysłowej dla czytającego ogółu.

Bądź co bądź edycya jubileuszowa jest nader pocieszającym w publicystyce naszej zjawiskiem. Dowodzi ona, że nie brak u nas ludzi, którzyby, w danej gałęzi pracy, przy odpowiedniejszych okolicznościach mogli szczęśliwie z sąsiadami zachodnimi spółzawodniczyć. Cena (rs. 10 za 4 tomy) nie dorasta wprawdzie do wartości dzieła; ale ze względu na ubóstwo nasze ekonomiczne jest nieco za wysoką.

A. G. Bem.

---

*) Do rzeczownika *strony* (str. 321) dołączono taki dopisek: „zamiast *struny*" (podczas gdy kierunek w kształtowaniu się wyrazu był odwrotny: *strona*, *stróna*, *struna*); wyraz *zawykłany* (omyłka drukarska) opatrzono budującem objaśnieniem: „dziś: *zawikłany*" itp.

**) Słowo np. *pomóc*, w wierszu: „Ale ty chciej *pomóc* sama"—takim objaśniono komentarzem: „*pomóc* — tryb bezok." (str. 306). Podobnych dopisków niemało w całej książce naliczyć można.

Prawa fabryczne

i położenie robotników w zachodniej Europie*)

I.

Najtrudniejszem ze wszystkich zagadnień społeczno politycznych jest uregulowanie stosunków ekonomicznych klasy roboczej. Kwestya ta od wieków domaga się rozwiązania. Położenie robotnika dzisiejszego niewiele się różni w istocie od położenia w wiekach średnich: ówczesny był niewolnikiem swego pana, dzisiejszy zaś niewolnikiem kapitału. Zamiast zwiększania się dobrobytu odpowiednio postępowi cywilizacyi, widzimy zwiększanie się proletaryatu. Wszelkie wysiłki filantropii w celu usunięcia tego największego zła społecznego pozostają bezskutecznymi. Ze strony kupców i fabrykantów nie można oczekiwać gruntownej reformy, bo ona sprzeciwiałaby się ich interesom. Co za wrzawę podnoszą oni, gdy idzie o podwyższenie płacy robotnika, chociaż tę nadwyżkę z procentem wynagradzają sobie na drożej sprzedanym towarze. „Gdyby cała olbrzymia siła naszych maszyn i przez podział pracy tak nieskończenie udoskonalone dzieła ręki ludzkiej — powiada Lange — zastosowane były do tego, ażeby dać każdemu, co potrzeba, dla uczynienia życia znośnem i dla dostarczenia duchowi spokoju i środków do rozwinięcia się, to już teraz możliwem byłoby zapewne rozszerzanie błogich darów kultury pośród wszystkich stanów, bez pogwałcenia duchowego zadania ludzkości; nie jest to jednak dążnością czasu"**). „Wielkie dzieło brytańskiego ducha wynalazczego — mówi Robert Peel***) — dzięki któremu maszyny naszych fabryk tak się udoskonaliły, zamiast do powszechnego dobrobytu narodowego, do gorzkiego doprowadziło przekleństwa." Olbrzymie to zwycięstwo kultury, zdobyte kosztem zdrowia i życia milionów, wyrugowało kobietę z rodzimego ogniska, czyniąc ją rywalką męża, w pracy, oderwało dziecko od szkoły, każąc mu współzawodniczyć z rodzicami. Wszyscy stali się równymi wobec maszyny, a takie zrównanie ujemnie wpłynąć musiało na cenę pracy. Nowy porządek rzeczy rozpoczął epokę zawziętej walki ekonomicznej. Walka ta łączyła — materyalnie i moralnie zrujnowanych robotników — w związki. W Anglii wcześniej, niż gdzieindziej, szerzyć się zaczęła produkcya fabryczna, to też tam najpierwej znajdujemy stowarzyszenia robotnicze, które właściwie były tylko dalszym ciągiem dawnych gildyj czyli cechów roboczych. Ponieważ owe związki wpływały w pewnym stopniu na rozwój prawodawstwa fabrycznego, uważam więc za potrzebne choć kilku słowy skreślić ich obraz.

Stowarzyszenia robotników angielskich, znane pod nazwą *Trades-Unionów*, przedstawiają trwałą, systematycznie urządzoną organizacyę, mającą za cel zapewnić uczestnikom wystarczający, ciągły i regularny dochód, wolność i niezależność ich osoby, jakoteż umysłowe i moralne wykształcenie oraz wychowanie na zdolnych ludzi i pożytecznych obywateli ****). Przebieg rozwoju *Trades-Unionów* nie różni się od historyi rozwoju gildyj. Wzbronione

---

*) Jakkolwiek w rozprawce tej znajdują się pewne twierdzenia i wnioski, które wydają nam się wątpliwe, zamieszczamy ją jako pracę gruntowną i pouczającą, do której punktów spornych powrócimy w osobnym artykule (*Redakcya*).

**) *Geschichte des Materialismus* — zakończenie.

***) *Report of the Minutes of Evidence* etc. 1816 str. 133.

****) L. Brentano. *Zur Geschichte der englischen Gewerkvereine*. Lipsk, 1872, t. II, str. 26

i uciskane początkowo, były później tolerowane, prawnie uznane i uzupełnione przez ustawodawstwo. W r. 1869 przeszedł w parlamencie bill tymczasowy, zapewniający prawo własności *Trades-Unionom*, a w dwa lata później wydano osobne rozporządzenie, zastrzegające im prawo korporacyjne. W 1875 r. zniesiono wszelkie dawne ograniczenia.

Ilość wszystkich uczestników wynosiła w 1872 r. 860,000. Od r. 1868 odbywają się corocznie kongresy, na których rozbierane są wspólne interesy *Trades-Unionów* wszczególności i robotników wogóle. Na pierwszem zebraniu było około 150,000 członków reprezentowanych przez 44 delegatów; na ostatniem — około 500,000 członków miało swych przedstawicieli. Prezes zgromadzonia, Robert Austin, sekretarz towarzystwa budowli maszyn, wyraził nadzieję, iż po pięciu latach, t. j. na 20 kongresie wystąpi milion robotników, a za tym milionem drugi w rezerwie.

Międzynarodówka, jak wiadomo, niewielu liczyła zwolenników pośród *Trades-Unionów*; prawodawstwo i krzewienie zasad samopomocy tamowały rozwój socyalizmu. Na ostatnim jednak kongresie większość przedstawicieli wyraziła żądanie, by ziemia przeszła na własność państwa. Delegacya zaś *Trades-Unionów*, wysłana w listopadzie 1882 r. do Paryża dla porozumienia się z komitetem narodowym partyi robotniczej francuskiej, w sprawie tunelu kaletańskiego, oświadczyła, iż robotnicy angielscy zaczynają uczuwać potrzebę zawarcia solidarnego przymierza z zagranicznymi.

Przejdźmy teraz do fabrycznego ustawodawstwa w Anglii.

Prawo angielskie z 1833 r. ogranicza czas roboczy dzieci w wieku 9 — 13 lat do 48 godzin tygodniowo; od 13 — 18 lat do 72. W sprawozdaniu jednak komisyi z r. 1840 czytamy, iż 7-letnie dzieci pracowały po 18 godzin dziennie bez odpoczynku.

W 1842 r. dzięki domaganiu *Trades-Unionów* i opinii publicznej wydano prawo, zabraniające używania kobiet przy kopalniach. Pomimo to jednak niedawno jeszcze pracowały kobiety w szybach górniczych po męzku ubrane wspólnie z mężczyznami w całej Wielkiej Brytanii i same były przeciwne wydaleniu ich.

W 1847 r., wskutek agitacyi *Trades-Unionów*, zaprowadzono t. z. prawo dziesięciogodzinne dla małoletnich i zastosowano je następnie do dorosłych robotników — w tkactwie, później zaś i w innych gałęziach przemysłu. Prawo stało się obowiązującem od r. 1867 dla wszystkich fabryk i warsztatów.

Agitacya *Trades-Unionów* w sprawie skrócenia dnia roboczego nie ograniczyła się na owym bilu. Od początku szóstego dziesiątka obecnego wieku żądają oni redukcyi do 9 godzin. Żądanie to przejawia się silniej, niż agitacya w sprawie zwiększenia płacy roboczej.

W 1871 r. dzięki zabiegom robotników fabryki budowli maszyn w Newcastle dzień pracy zmniejszono do 9 godzin, a następnego roku zaprowadzono toż samo w wielu innych tego rodzaju fabrykach. Ograniczenie do 8 godzin, projektowane na powszechnym kongresie robotników Ameryki północnej (1866) w Baltimore, poparte na kongresie międzynarodowego stowarzyszenia robotników w Genewie, uprawniło się już w 1867 r. w stanach: Illinois, Wisconsin, Missouri i New-York, a w r. 1868 obie izby kongresu przyjęły wraz z prezydentem 8 godzinny dzień za obowiązkowy dla całych Stanów Zjednoczonych. „The platform of Labor,“ znalazł odgłos w Anglii. „Każdy dobry robotnik może się zmęczyć ośmiogodzinną pracą; zły to górnik, który nie znuży się pracując przez osiem godzin“ — powiedział prezydent Towarzystwa narodowego górników przed 15 laty.

Od czasu wprowadzenia 10 godzinnego prawa spostrzeżono, iż robotnicy krócej zajęci, więcej wytwarzają. Dollfuss w Mühlhausen zredukował dzień z 12 na 11 godzin i obiecał robotnikom, iż zapłata nie zostanie im zmniejszoną, jeżeli ilość ich pracy wyrówna dawnej. Po upływie miesiąca pokazało się, iż w ciągu 11 godzin produkowano 5% więcej, niż w 12. Przy budowie linii Trent-Valley użyto dla prędszego jej ukończenia zamiast jednego oddziału robotników na 10 godzin, dwa oddziały na 8, i tu każdy oddział więcej wykonywał w ciągu 8 godzin, niż zwykle w ciągu 10. Fabryka maszyn Ransome et Sims w Ipswich daje zajęcie 1.200 robotnikom. W d. 2 stycz. 1872 r. zredukowano czas pracy z 58½ do 54 godzin tygodniowo, skutkiem czego energia robotników podniosła się o tyle, iż zwiększyła siłę pary maszyn o 12 — 15%*). Podobnych przykładów dostarcza nam Szwajcarya od czasu zaprowadzenia 11 godzinnego dnia roboczego.

Amerykańscy robotnicy sądzą, że każde skrócenie dnia podnosi płacę. Gazeta ich *Californie freie Presse* (27 listopad. 1880 r.) popiera powyższe twierdzenie następującem rozumowaniem: „Przypuśćmy, iż obecnie gdy przemysł wszędzie kwitnie, niema ani jednego robotnika, któryby nie był zajęty i że Stany Zjednoczone posiadają 5 milionów pracujących po 10 godzin dziennie. W ten sposób ogólna suma pracy zastosowanej w produkcyi stanowić będzie 50 milionów godzin roboczych dziennie. Przypuśćmy dalej, iż całą tę ilość pracy eksploatują fabrykanci i że nagle wydają prawo, ograniczające dzień w fabrykach do 8 godzin. Cóż stanie się wtedy? Pięć milionów robotników dostarczać będzie tylko 40 milionów godzin roboczych dziennie, fabrykanci stracą zatem 10 milionów godzin. Oczywiście, iż stratę poniesioną przez skrócenie dnia roboczego wynagrodzić mogą sobie tylko powiększeniem ilości robotników. Zatem, popyt na robotników wzrasta, a ponieważ ilość ich pozostaje taż sama, płaca więc musi się podnieść koniecznie, gdyż fabrykanci, potrzebujący robotników, nie mogą nie zaspokoić ich żądań podwyższenia zarobku.

Należałoby więc uregulować czas w taki sposób, ażeby wszyscy robotnicy mogli mieć zajęcie, a wtedy swobodnie mogliby się umawiać z fabrykantami co do wysokości płacy.

Rozumowanie podobne jest jednak błędnem. Stopniowe skracanie dnia nie zwiększa popytu na robotników, lecz zmniejsza go jeszcze, gdyż sprowadza upadek drobnych i źle urządzonych fabryk, nie mogących wytrzymać współzawodnictwa, a przez to zasila rynek roboczy t. j. zmniejsza popyt.

W większych fabrykach strata, mogąca stąd wyniknąć, wynagradza się przez energiczniejszą pracę robotników i przez ulepszenie maszyn; skrócenie więc ilości godzin niepomyślnie może wpłynąć na wysokość zarobku.

Nowe wynalazki i udoskonalenia maszyn, zwiększając współzawodnictwo i zmniejszając jednocześnie płacę, przekształciły warunki przemysłu, otworzyły drzwi fabryki dla wszelkich sił i sprowadziły znaczny napływ kobiet i dzieci. W fabrykach tkanin całej Wielkiej Brytanii było w r. 1874 przeszło 1,000.000 robotników, z których 61% przypadało na kobiety; w liczbie tej znajdowało się około 126.000 dzieci płci obojej niżej lat 13, z tych zaś około 67,000 pracowało w fabrykach bawełnianych. W Szkocyi robotnice stanowiły 71,5% wszystkich pracujących*). Ilość chłopców zajętych w fabrykach bawełnianych podniosła się z 6,4% w 1850 r. do 14% w 1875 r.; ilość dziewczyn wyżej lat 13 zatrudnionych w przemyśle wełnianym wzrosła w tymże czasie w obu wymienionych gałęziach przemysłu, mianowicie: w fabrykach bawełnianych z 24 do 27,4, zaś wełnianych z 36 do 38,7**).

Nowe prawo angielskie (z 27 maja 1878 r.) „Akt o fabrykach i rękodzielniach“ zniosło dawną oddzielną ustawę fabryczną, określiło dokładnie obowiązki przemysłowca względem robotników i poddało go ściślejszej kontroli i odpowiedzialności za wynikające z jego winy nieszczęścia. Kara pieniężna dochodzi do 100 funtów sterl., które zostają wydawane poszkodowanemu lub też jego rodzinie.

Prawo to skierowane głównie ku ograniczeniu pracy kobiet i dzieci, określa dzień roboczy 10 godzin dla dorosłych, wyrostków płci obojej od lat 14 do 18 i kobiet od lat 18, czyli 56 godzin tygodniowo; w sobotę robotnicy pracują tylko do godziny 2 lub 3 popołudniu.

Dzieci po ukończeniu 10 lat mogą pracować w fabrykach, niedłużej jednak jak 6 godzin, lub w razach wyjątkowych 7 dziennie.

Zajęć nocnych zabroniono dzieciom, wyrostkom i kobietom, dozwolono tylko chłopcom wyżej lat 14 w zakładach wyrobów metalowych, szklanych i drukarniach.

Praca niedzielna wzbroniona bezwarunkowo wszystkim trzem powyższym kategoryom. W niektórych fabrykach nie dozwala się używania dzieci i wyrostków pod żadnym warunkiem, jak np. przy posrebrzaniu luster, topieniu szkła, wyrabianiu cegły, białej farby rtęciowej itd.

Żadne dziecko i żaden wyrostek do lat 16 nie może być przyjętym do fabryki, nie przedstawiwszy poprzednio świadectwa od miejscowego lekarza fabrycznego o swem zdrowiu. Na żądanie inspektora fabrycznego lekarz obowiązany jest zbadać dziecko lub wyrostka i jeśli świadectwo okaże się niezadawalniającem, wtedy właściciel fabryki obowiązany jest zwolnić go od zajęć.

Dziecko zajęte w fabryce, musi uczęszczać do szkoły, przez rząd uznanej za stosowną dla kształcenia dzieci fabrycznych. Fabrykant lub też rodzice, niezachowujący tego przepisu, karani są odpowiednio do stopnia ich winy.

Inspektor fabryczny powinien być człowiekiem bezstronnym. Urzędu tego nie może sprawować ani właściciel fabryki, ani nikt zostający w pewnych z nią stosunkach interesowych. Sprawozdanie ze swej działalności inspektorzy przedstawiać winni corocznie parlamentowi. Mają oni prawo wschodzenia i oglądania każdej fabryki i rękodzielni, w każdej porze i w dzień i w nocy, w dzień zaś mogą wejść do każdego lokalu, jeżeli sądzą, że tam znajduje się jakiś warsztat. Korzystając z nadanych im praw, inspektorzy angielscy gruntownie spełniać mogą swe zadanie.

Przez stopniowe wprowadzanie nowych ustaw, ograniczających w pewnym stopniu samowolę fabrykantów, i przez zastosowywanie udoskonalanych ciągle maszyn ilość kalectw i wypadków śmierci zmniejszyła się o 32% w zakładach angielskich. Najczęściej zdarzają się dzisiaj kalectwa i wypadki śmierci, spowodowane przez maszyny, co stanowi 76% wszystkich nieszczęśliwych zdarzeń fabrycznych.

Natomiast ilość wypadków pośród służby dróg żelaznych zwiększa się ciągle. W 1874 r. na 274,535 osób, należących do persone-

*) Przykłady wyżej przytoczone wyjęte są z broszury L. Brentano. *Ueber das Verhältniss von Arbeitslohn und Arbeitszeit zur Arbeitsleistung.* Lipsk, 1876, str. 23.

*) Fr. Martins. *Statesmans Jearbook for* 1877 p. 267.

**) G. Fr. Kolb. *Handbuch der vergleichender Statistik.* Lipsk 1879. s. 228.

lu kolejowego, zdarzyło się 3,603 wypadków; w 1875 r. — 4,385; w 1879 r. — 4,469; a w 1880 r., przy wzroście personalu do 325,000 osób ilość wypadków wzrosła do 5,203 t. j. 160 na 10,000.

Przy tej sprawie, zwrócić potrzeba także uwagę na nadzwyczajną śmiertelność robotników w pewnych gałęziach przemysłu. Przeciętna długość życia szlifierzy w Sheffield wynosi 32 lata, szlifierzy widelcy tylko 28 lat. Popper *) powiada, iż kamieniarze i robotnicy kamieni młyńskich w okręgu Gabel w Czechach 15 lat tylko przeciętnie zdolni są do pracy i wszyscy umierają na suchoty; robotnicy kamieni młyńskich w Anglii, według Peacocka, żyją przeciętnie 24 lata i 9 lat zaledwie zdolni są pracować. Z 107 robotników pewnej przędzalni lnu znalazł Greenhow**) 79 chorych na piersi, a z 27 czeszących len 23 było chorych. Z 100 chorych szczotkarzy 49 przynajmniej cierpi na gruźlicę.

Płaca przeciętna w Anglii wynosi mniej więcej tygodniowo: dobry przędnik bawełny — 28 szylingów, trzepacz bawełny — 21 szyl.; robotnica trzepiąca bawełnę — 12 szyl. 9 pensów; szwaczki koszul, hafciarki i tapicerki zarabiają często 4 do 5 szyl. tygodniowo, pracując po 14 i 15 godzin dziennie, najmują się jednak i za niższą cenę np. 2 szylingi tygodniowo, byle ich tylko nie odprawiono. Maszyniści prowadzący lokomotywy otrzymują za 10 do 15 godzinną pracę 4 szyl. 6 pensów do 7 szyl. 6 pens. Palacze za 16 do 18 godzin pracy otrzymują 2 szyl. 10 pens. do 4 szyl. 6 pens. Robotnice w fabrykach gwoździ otrzymują 2 szyl. 6 p. tygodniowo. Płaca robotników należących do związku *Trades-Unions* jest wyższą. W Szkocyi mało jest tych stowarzyszeń, stąd też płaca tam mała i ilość godzin roboczych większa niż w Anglii. To samo spostrzegamy i w Anglii co do płacy roboczej w tych miejscowościach, gdzie niema związków.

Nadmierna i niezdrowa praca, niski zarobek pogrążają tłumy robotników w przepaść nędzy i poniżenia. Praca i głód druzgocą i miażdżą setki tysięcy. Prawie ósma część czyli 12% całej ludności Londynu utrzymuje się z żebractwa, zapomogi publicznej lub występku (Maydew). Prawo fabryczne nie może zapobiedz zwiększaniu się proletaryatu i szerzeniu się nędzy, a wzrastające wychodźtwo nie jest w stanie podnieść popytu na pracę; przytem emigrują przeważnie zdolniejsi robotnicy, ci bowiem mogą mieć tylko potrzebne ku temu środki.

(D. c. n.)

POD WODZĄ DARWINA.

Sklepienia katakumb westminsterskich oddawna już zakryły przed światem trumnę Darwina, ale duch angielskiego myśliciela unosi się dotąd nad głowami uczonych badaczów przyrody. Teorya „walki o byt“ stała się tą pochodnią, z którą prometeusze dzisiejsi zstępować mogą śmiało i do niezgłębionych oceanu odmętów i do grobowców życia przedpotopowego. Olbrzymia masa poznanych ostatnimi czasy faktów naukowych byłaby tylko zwiększyła chaos naszych pojęć o naturze ustrojowej, gdyby nie zapobiegało temu magiczne światło rzeczonej teoryi, gdyby głos mistrza z za grobu jeszcze nie kierował krokami uczniów.

Agitatorski zapał pierwszych jego wyznawców ustąpił miejsca poważnym wywodom naukowym i żelaznej argumentacyi. Zwolennicy nowych poglądów nie miotają już obelg na obóz przeciwny. Z lekkiem odcieniem ironii, ale z godnością i spokojem zapraszają oni konserwatyzm do bezstronnego rozpatrzenia dowodów; to znaczy, że są już pewni swego. Braku argumentów nie potrzebują zastępować junakieryą... Równocześnie też i wśród ukształconych warstw społecznych darwinowska zasada powstawania gatunków zyskuje coraz szersze uznanie. Najlepszym tego dowodem jest nowo-wydany okólnik pruskiego ministra oświaty, zakazujący wykładania w szkołach wszystkiego tego, co ma związek z Darwinem. Znaczenie podobnych „dokumentów“ ocenić i zrozumieć nie trudno. Dopóki „walka o byt“ spotykała w masach tylko świętobliwe, skierowane ku sobie oburzenie, dopóty żaden machiavelizm rachować się z nią nie potrzebował; teraz jednak nawet obłudna tolerancya stała się niebezpieczną: nietoperze przestraszyły się potoków światła... Dla spaczonych i wynaturzonych bezduszną formalistyką umysłów młodzieży pruskiej zdrowy pokarm może się stać trucizną. Nie uwalnia się z powijaków tego, kto bez nich prosto trzymać się nie potrafi.

Ale przejdźmy już do faktów.

Przed paroma miesiącami — na innem miejscu — opowiadałem czytelnikom, w jaki sposób naturaliści francuscy zdołali wytłomaczyć sobie powstawanie morskich organizmów zbiorowych, jak: korale, meduzy itp. W tłomaczeniu owem nicią przewodnią była teorya „przystosowania się.“ Dzisiaj mam zamiar opowiedzieć o nowej zdobyczy naukowej, którą pośrednio również geniuszowi Darwina zawdzięczać należy.

Trzymając się ogólnych wskazówek angielskiego badacza, nowsi naturaliści starają się spożytkować je przy objaśnieniu *szczegółowych* wypadków pochodzenia tego lub innego gatunku. Do takich prób należy też niedawno ogłoszona praca o pochodzeniu *konia*. Autorem jej jest amerykański uczony J. L. Wortman*).

Gdyby nam ktoś powiedział, że nędzny szałas ludożercy jest protoplastą wspaniałych gmachów, zdobiących stolice Europy, wzięlibyśmy te słowa za niedorzeczność; jeżeli jednak odtworzymy sobie w myśli historyę budownictwa, jeżeli kolejne jej fazy przedstawimy w szeregu umiejętnie wykonanych rysunków — zdanie nasze będziemy musieli zmienić stanowczo. Natenczas zręby i belki chłopskiej chaty uprzytomnią nam wiązania i żerdzie koczowniczych namiotów, a fugi i gzemsy murowanych kamienic ukażą się jak dalekie, ale wierne przypomnienie belek i wiązań, powolna *stopniowość* w przechodzeniu od jednego typu budowli do drugiego pogodzi nas zupełnie z tą myślą, że tworząc swe pierwsze najnędzniejsze lepianki, człowiek czerpał już wiadomości, ktore mu się przydały potem przy budowie wspaniałych gmachów.

Podobnież ma się rzecz z historyą powstawania gatunków zwierzęcych. Słysząc że *koń* np. ma pochodzić od jakiejś całkiem do niego niepodobnej bestyi przedpotopowej, nie chcemy w żaden sposób przystać na taką jego genealogię. „Jest to szałas i zamek, powiadamy, nie masz tu nic wspólnego!“ Ale gdy uczeni postawią przed nami cały szereg *pośrednich* organizacyj zwierzęcych, gdy zobaczymy, że przy ich pomocy możemy *stopniowo i nieznacznie* przejść od owej bestyi aż do kształtnego rumaka, — wtedy myśl naturalisty nie wyda się już nam tak potworną.

Podczas jednak gdy w szeregu coraz to doskonalszych i ozdobniejszych budowli widzimy *świadomą* siebie i ciągle dojrzewającą myśl ludzką, w łańcuchu żywych ustrojów każde ogniwo musimy uważać za wytwór bezwiednie działającej przyrody, której potężnemi środkami są: z jednej strony zmieniające się ciągle otoczenie zewnętrzne, z drugiej zaś — własność organizmów, pozwalająca im przystosowywać się powoli do owych zmian otoczenia.

Wiedząc o tem, niedziwilibyśmy się już wcale, gdyby nam powiedziano np. że koń arabski pochodzi od... jesiotra. Poprosilibyśmy tylko o dowody, to jest o cały szereg organizmów pośrednich, przez które przechodząc myślą, możnaby było niepostrzeżenie rozstać się z ustrojem ryby, i znaleźć się wobec organizmu zwierzęcia ssącego. Za pierwszych brzasków teoryi Darwina dowodów takich było jeszcze zbyt mało; dzisiaj paleontologia dostarcza ich coraz więcej.

„Fakta odnoszące się bezpośrodnio do historyi kopalnej rozmaitych grup zwierząt ssących, od lat kilku nagromadziły się w tak wielkiej ilości — powiada Wortman — iż możemy dzisiaj przedstawić ich drzewo rodowe i nakreślić z niejaką pewnością wszystkie te fazy, przez jakie przechodziły one przed dojściem do stanu obecnego.“

Trzeba wiedzieć, iż przy klasyfikacyi zwierząt ssących, przy podziale ich na rzędy i rodziny, uczeni główną swą uwagę zwracają na dwie charakterystyczne cechy: uzbrojenie kończyn i uzębienie. Co do pierwszych paleontologii udało się wykazać z całą pewnością, że prototypem rozmaitych form dzisiaj spotykanych—są kończyny *pięciopalczaste*. Taką też liczbę palców posiadają wszystkie najdawniejsze okazy ssącej fauny kopalnej. W *uzębieniu* znów spotykamy dwie zasadnicze formy. U jednych organizmów zwierzęcych zęby trzonowe są niewielkie, odznaczają się nieznaczną i prawie gładką lub tylko pagórkowatą *koroną*, u innych zaś zęby te, dochodząc bardzo znacznych rozmiarów, cechują się koroną o silnem uzbrojeniu, o powierzchni najeżonej twardemi listewkami emalii i poprzerzynanej głębokiemi bróździami. Te dwie napozór powierzchowne tylko różnice w uzębieniu — pozostają jednak w ścisłym związku z całym szeregiem bardzo ważnych zmian w wewnętrznej budowie zwierzęcia. Forma zębów pagórkowatych jest znacznie starszą i cechuje zwierzęta *wszystkożerne*, posiadające krótki i prosty narząd trawienia. Zęby z koroną bardziej rozwiniętą są już wytworem czasów późniejszych i stanowią własność zwierząt roślino-żernych, mających długi, bardziej złożony kanał pokarmowy.

Koń pod względem uzębienia należy do tej drugiej grupy zwierzęcej; pod względem zaś uzbrojenia kończyn — opatrzony jest, jak wiadomo, jednym tylko na każdej nodze kopytem.

Korzystając z nagromadzonych przez siebie materyałów paleontologicznych, Wortman przyszedł do wniosku, że najstarszym ze zwierząt ssących protoplastą konia jest pewien, bardzo różniący się od niego organizm, którego zęby należą do grupy pagórkowatych, a kończyny są pięciopalczaste. Cały olbrzymi szereg organizacyj pośrednich, jakie udało się odnaleźć w bogatych w szczątki kopalne pokładach amerykańskich — nie pozwala ani na chwilę powątpiewać o rzeczywistości tego pokrewieństwa; chodzi więc tylko o wytłomaczenie sobie, w jaki sposób i pod jakiemi wpływami uzębienie i kończyny konia odbiegły tak daleko od swego pierwowzoru.

Odpowiedź na pierwsze pytanie jest dość łatwą.

Przodkowie konia — owe pięciopalczaste i pagórkowatemi zębami opatrzone organizmy, należały, rzecz jasna, do zwierząt wszystkożernych. Mieszkały one prawdopodobnie w lasach, gdzie większą znajdując rozmaitość pokarmów, mogły się żywić: jagodami, owocami drzew, ko-

*) *Lehrbuch der Arbeiterkrankheiten und Gewerbehygiene.* Stuttgart. 1882, str. 21, 22, 27.

**) *Third series of cases illustrating the pathology of the pulmonary disease* etc. 1868).

*) Revue scientifique z 9 czerwca r. b.

rzonkami itp. Miękkość i delikatność tkanek roślinnych nie wymagała od zwierzęcia silnie uzbrojonych zębów; z drugiej zaś strony — prosty i krótki kanał pokarmowy mógł podołać z łatwością swej robocie, gdyż mała nawet ilość takiego pożywienia zawierała w sobie znaczne zapasy potrzebnych dla organizmu substancyj. Przyjść mógł jednakże czas, kiedy dla przodków konia skończyły się złote dni bezpowrotnie. Zmiana klimatu lub częstsze zagony zwierząt drapieżnych zmusiły owe pięciopalczaste osobniki do opuszczenia lasów i do przeniesienia się na.. otwarte błonia. Słodkich jagódek i smacznych korzonków tutaj już nie było... Należało żywić się zwykłą, twardą i niezbyt pożywną *trawą*.

Rzecz prosta, że przy zmianie dyety takie tylko okazy utrzymywać się mogły przy życiu, którym natura dała najlepiej rozwinięte zęby i największe żołądki. Dzieci, odziedziczając po rodzicach te cenne przymioty i potęgując je nadto ciągłem ćwiczeniem, doszły wreszcie do silnie uzbrojonych zębów i bardziej skomplikowanego narządu trawienia — jakie spotykamy właśnie u *koni*. Nie należy jednak myśleć, aby przejście to było prędkie i gwałtowne. Przeciwnie. Uzębienie rozpatrywanych kolejno przez Wortmana organizmów przedstawia szereg tak subtelnych i nie nieznaczących różnic, iż tylko wytrawne oko naturalisty mogło zwrócić na nie swoją uwagę.

Ale gdzież się podziały *palce* praojców konia?

U zwierząt pięciopalczastych, stojących spokojnie na gruncie, wszystkie palce układają się w półkole i wszystkie jednakowo przylegają do powierzchni ziemi. Postać rzeczy zmienia się zupełnie podczas szybkiego biegu. Wtedy bowiem cały ciężar ciała opiera się głównie na koniuszczkach palców *środkowych*, *boczne* zaś bywają zawieszone nad ziemią, nie przyjmują w bieganiu żadnego udziału — i przez to stają się *niepotrzebnemi*... Narządy dla organizmu niepotrzebne ulegają, jak wiadomo, stopniowemu zanikowi; te zaś, które są częściej ćwiczone, dosięgnąć mogą w rozwoju swym rozmiarów niepospolitych. Łatwo zrozumieć teraz tajemnicę zniknięcia czterech palców na każdej nodze konia... Znalazłszy się na otwartych równinach, przodkowie tego zwierzęcia, nie posiadający żadnego oręża, jedyny ratunek przed niebezpieczeństwem znajdować mogli w... szybkim biegu. Liczba palców nie odrazu zmniejszyła się tak gwałtownie. Uczeni i tutaj przedstawili nam niezmiernie długi szereg okazów, u których zanikanie palców odbywało się bardzo powolnie. Widzimy tam nietylko cztero, trzy, i dwu palcowe organizmy, ale każda z tych kategoryj przedstawia jeszcze całe szeregi bardzo delikatnych odcieni i różnic. prowadzących stale a nieznacznie do typu *jednopalcowych* ustrojów.

„Możemy powiedzieć, kończy swą pracę Wortman, iż uciekając się do środków naturalnych dla wytłomaczenia sobie zmian, zachodzących w budowie zwierząt, postawimy odrazu kwestyę na trwałym gruncie wiedzy ścisłej; podczas gdy szukając wyjaśnienia we wpływach nadprzyrodzonych, możemy zawędrować do dziedziny, w której paleontologia nie okaże nam najmniejszej pomocy i przyjść do wniosków zasadniczo sprzeciwiających się duchowi nowoczesnych badań naukowych."

J. K. Potocki.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Rys statystyczny miasta Piotrkowa skreślił J. Kański.

Praca ta obejmuje w sobie dane ze spisu jednodniowego, dokonanego w Piotrkowie (1 kwietnia 1882 r.). Przyjrzyj my się niektórym ciekawszym wynikom. Ogólna przestrzeń miasta, podług ostatnich pomiarów, wynosi prawie 169 dziesiatyn; z tego na domy, podwórza i ulice brukowane przypada zaledwie 73 dziesiatyny; pozostałe 96 znajduje się pod sadami, ogrodami, łąkami, pastwiskami i t. p. Budowli w Piotrkowie znajduje się ogółem 2013, ale tylko 962 domów mieszkalnych. Pomiędzy ostatnimi przeważają drewniane (53%) i parterowe (69%). Przy spisie naliczono 4139 lokali (oprócz znajdujących się w koszarach, szpitalach i więzieniach, oraz przeznaczonych na użytek publiczny, jak np. apteki, cukiernie i t. p.), niezajętych było 158 t. j. 4%, głównie dla tego, że znajdowały się w stanie nieodpowiednim; z pozostałych 3981 zajętych 434, t. j. 11%, uznano za niehygieniczne i zdrowiu szkodliwe. Stosunek to bardzo wysoki, zwłaszcza jeżeli przyjmiemy pod uwagę, że lokale te, jako znajdujące się w najgorszych warunkach, a zatem najtańsze, są najgęściej zajęte przez ubogą ludność miejską. Przeciętny lokal w mieście składa się z 2 pokojów, na każdy zaś wypada przeciętnie 2, 3 osoby. Zważywszy, że pokoje są małe, przeważnie o jednem oknie, przyznać musimy, iż większość mieszkańców jest zanadto skupiona i posiada zbyt mało powietrza. Brak ten daje się najdotkliwiej uczuć biedniejszej ludności. W domach murowanych, wypada przeciętnie około 2 osób na 1 pokój, a mianowicie na 1-em piętrze tylko $1\frac{1}{2}$ osoby, a na 2-em $1^2/_3$ osoby; na parterze już przeszło 2, a w suterenach i na poddaszach około 3 osób. W domach drewnianych wypada przeszło 3 osoby na 1 pokój; w suterenach zaś domów drewnianych — w każdym pokoju mieści się przeszło 5 osób. Prócz tego znajdujemy w Piotrkowie jeszcze 6 mieszkań podziemnych, przeznaczonych dla robotników, pracujących w cegielniach; na 1 pokój przypada także po 5 mieszkańców. Liczby te mówią same za siebie; my zwrócimy jeszcze tylko na to uwagę, że pokoje poddaszy i suteren są małe, a często znajduje się w nich oprócz mieszkań i kuchni, jeszcze jaki warsztat.

W pomienionych lokalach w dniu spisu znajdowało się 20,086 osób płci obojga (9639 mężczyzn i 10.450 kobiet); z pomiędzy nich 4718 osób ($23\frac{1}{2}$%) mieszkało na piętrze w murowanych domach, a więc znajdowało się w najlepszych warunkach pod względem zaludnienia pokojów; 4,741 osób ($23\frac{1}{2}$%) na parterze w murowanych domach; 2917 osób ($14\frac{1}{2}$%) w suterenach i na poddaszach murowanych domów; 7681 osób (przeszło 38%) w drewnianych domach; w najgorszych zaś warunkach, t. j. w suterenach domów drewnianych i w mieszkaniach podziemnych żyło 470 osób (około 2%).

Ludność Piotrkowa wzrasta bardzo szybko; w ciągu 10-lecia, przedzielającego pierwszy jednodniowy spis od ostatniego przybyło przeszło 6,000 osób (36%). Prócz stałej ludności miasta (20,086 osób) autor rysu statystycznego rozróżnia jeszcze niestałą (2,960 osób), zaliczając do niej przejezdnych, wojskowych, mieszkających w koszarach i barakach, chorych w szpitalach i więźniów.

Języka polskiego w stosunkach rodzinnych używa 62,4% całej ludności, z pomiędzy zaś starozakonnych tylko 9%; natomiast „żydowskiego żargonu" używa trzecia część mieszkańców miasta.

Oświata niezbyt świetnie jest reprezentowana; 9,294 osób t. j. 47,2% należy do niepiśmiennych; 2,900 (przeszło 14%) otrzymało lub otrzymuje wykształcenie tylko w chederze; 5,196 (około 26%) otrzymało lub otrzymuje elementarne lub domowe wykształcenie. Ciekawem jest, że z pomiędzy 1666 osób, średnio wykształconych, większość znajduje się po stronie kobiet, mianowicie na 892 kobiety przypada tylko 774 mężczyzn.

Z ludności męskiej około 54% oddaje się produkcyjnym zajęciom; z kobiet mniej niż 23%. Tak mały procent pracy niewieściej da się objaśnić tem, że do liczby produkcyjnych zajęć nie zaliczono gospodarstwa domowego. Między rozmaitemi kategoryami zawodów najliczniej przedstawiają się cyfry służących (1903) i wyrobników (912). Przemysłem fabrycznym i rękodzielniczym trudni się prawie 1,600 osób (8% ludności stałej). Fabryk i zakładów przemysłowych znajduje się ogółem 136; do tego można dołączyć 307 rozmaitych warsztatów wewnątrz lokalów mieszkalnych (przeważnie krawieckich, szewckich, szycia bielizny i t. p.). Właściwych fabryk w 1881 r. liczono w Piotrkowie tylko 20; pracowało w nich 204 robotników, którzy mieli otrzymać ogółem rocznej płacy 39,230 rs., t. j. przeciętnie zaledwo 200 rs. na osobę. Handlem trudni się około 800 osób (4% stałej ludności); w tej liczbie 82% stanowią starozakonni.

Niechcąc przeładowywać liczbami niniejszego sprawozdania, pomijamy inne szczegóły spisu jednodniowego; czytelników zaś, pragnących szczegółowo oznajomić się z tym spisem, odsyłamy do samego „rysu statystycznego", który polecamy tem chętniej, że czysty dochód otrzymany z rozprzedaży autor przeznaczył na pomoc naukową dla ubogich wychowańców gimnazyum piotrkowskiego. *K. P.*

Edmund Jankowski **Sad przy chacie.**

Książeczka wyżej wymieniona przeznaczoną jest dla ludu. Nie wdając się w szczegółową ocenę jej wartości, o której najlepiej zresztą mówi znane nazwisko p. Jankowskiego, jednego z najwykształceńszych i najgorliwszych ogrodników naszych, podnoszę tylko kwestyę zastosowania praktycznego rad i wskazówek autora. P. Jankowski, zamiłowany w swojej specyalności, pragnąłby widzieć koło każdej chaty wzorowy sad, prowadzony według wszelkich przepisów sztuki ogrodniczej. Pomijając koszta dość znaczne, jakich urzeczywistnienie projektów wymagać będzie, nie wystarczy chłopu ani dość czasu na zbyt troskliwe pielęgnowanie i przesadzanie drzewek. urządzanie szkółek itp. zajęcia, nie wystarczy mu nieraz ziemi, ażeby mógł sadzić, w sześciołokciowej od siebie odległości drzewa owocowe. Chyba zamożny tylko kolonista zastosować może ulepszenia, zalecone przez p. Jankowskiego; dla przeciętnego chłopa są one zbyt uciążliwemi, a często nawet niemożliwemi.

Autor zanadto pamiętał o swojej specyalności, a zamało o rzeczywistych warunkach chłopskiego bytu. Jest to zwykła wada fachowych ludzi. Pragną oni zrobić jaknajlepiej, chociażby nie wiele, zapominając, że dla ogółu większą ma wagę rozpowszechnienie pożyteczniej pracy, aniżeli stopień jej doskonałości. Nie o to chodzi, żeby w kraju naszym było o kilkaset sadów i kilka lub kilkanaście tysięcy drzew owocowych więcej, ale o to, żeby każdy włościanin miał przy domu chociaż kilka drzew owocowych, wystarczających na własne jego potrzeby, i jeżeli to okaże się możliwem, dających mu pewien dochód.

Gdyby autor wybrał sobie takie zadanie, książeczka jego przyniesśby mogła znacznie większą korzyść, chociaż i teraz ogrodnik-samouk wiele z niej nauczyć się może. Dziełko napisane jest bardzo przy-

stępnie i jasno. Przykrem tylko rozdźwiękiem brzmi zdanie, że w Niemczech dla tego kwitnie ogrodnictwo i drzewa przy drogach są szanowane, ponieważ był tam król, który za obłamanie gałęzi kazał ucinać winnym ręce. Prawda, że p. Jankowski nie zaleca wprost użycia tego środka, ale czyż można podobnie wstrętny, oburzający okrucieństwem rozkaz pruskiego tyrana — przytaczać jako czyn godny pochwały? Wszakże autorowi zapewne wiadomo, że jeżeli własność publiczna i prywatna w Niemczech, a zwłaszcza w Prusach jest tak święcie szanowaną, to wcale nie dla tego, że był tam niegdyś król okrutnik, który kazał ucinać ręce szkodnikom, ale dla tego, że w kilkadziesiąt lat po nim panował inny król, który każdemu kazał uczęszczać do szkoły!

Wiat...

LIBERUM VETO.

Rozmowa duchów i monolog Reszkówny. — Pan Feliks Kozubowski w roli pokutnika. — Matactwo Bismarka i socyalizm. — Okólnik o szkołach wojskowych. — Reforma szkolna. — Drugi pożar teatru. — „Żyjący nieboszczyk." — Obrazek z Ogrodu Saskiego.

W siódmym kręgu niebios między duchami toczyła się następująca rozmowa:

Krasiński. Bogi i ludzie szaleją... Na jednym z placów Warszawy zgiełk jakiś niezwykły i wrzawa.

Mickiewicz. Co to będzie, co to będzie?

Krasiński. Ludzie stają się końmi: wprzęgają się do jakiegoś powozu...

Jeden z duchów. Czy nie widzicie, kto ciągnie karetę?

Trembecki. Twarzy nie dojrzę, widzę tylko uszy...

Jeden z duchów. Ale kogoż spotyka ten zaszczyt?

Moniuszko. Wiem już, wiem! W karecie siedzi zacna Reszkówna... Biedna, jak ona musi cierpieć!

Słowacki. Czy ty się skarżysz aniołom, niebieska?

Jeden z duchów. Cóż to za kartki wyrzuca artystka z powozu?

Głos z szóstego nieba. To... to *improwizacya* naszego kolegi.... ja go natchnąłem.

Mickiewicz. Któż to się odzywa?

Głos. To ja—Soter...

Kilka duchów. Rozbicki!..

Rozbicki. Hi, hi, hi! — a stąd morał taki, że będą jedli raki...

Jakoż prawdopodobnie dla wynagrodzenia siebie za szlachetną inicyatywę, jedli u Stępkowskiego raki i to nie proste, ale morskie. W tym samym czasie zacna, jak ją nazwano w niebie, Reszkówna piekła raki — rozumie się za tych, co jedli. Zdaje mi się, że słyszę monolog szlachetnej artystki po powrocie jej do domu. „Jam przez kilkanaście wieczorów uczyła ich, jakie są najpilniejsze potrzeby naszego społeczeństwa, a oni, nie zrozumiawszy nic, nakupowali mi świecideł... Jeżeli już tak koniecznie pragnęli mię uczcić, to, zamiast dawać mi klejnoty, których nie potrzebuję, czyż nie lepiej było ustanowić np. kilka stypendyów mego imienia? Ach, a na dobitkę wszystkiego, później jeszcze te konie, te dwunożne konie, co mię ciągnęły... Jakież to było okropne!"

Potrzeby swego społeczeństwa, chociaż dość późno, zrozumiał teraz p. Feliks Kozubowski, b. redaktor *Gazety poznańskiej*. Organ ten. będący dotychczas wyrazem ojcowskich uczuć Bismarka względem polaków—trudnił się fabrykacyą pruskiego machiawelizmu, którego dostawę na całe księstwo uskuteczniał drogą sprzedaży detalicznej—przez żandarmów i sierżantów policyi. Głównym składowym pierwiastkiem tego specyfiku było stare, jak świat, paskudztwo: „divide et impera." Nieszczęście mieć chciało, iż w liście, napisanym niedawno do *Dziennika poznańskiego*, p. Feliks Kozubowski odsłonił wszystkie tajemnice tej zacnej manipulacyi. Pisze on przedewszystkiem, iż postanowił on opuścić swoje tak mało zaszczytne stanowisko, na które był wciągnięty przemocą. Powiada dalej, iż wszystkie artykuliki Gazety, podburzające chłopów przeciwko szlachcie i nakazujące im szukać ratunku w żelaznych uściskach żelaznego księcia, spływały na szpalty gazety z wyżyn berlińskiej Walhali. Dodaje w końcu b. redaktor, że „siły pruskie," zniewalające go do zdrady jego własnego sztandaru, przestały już nań wywierać swój nacisk i wyraża nieśmiało nadzieję, że społeczeństwo polskie nie odepchnie może marnotrawnego syna, którego nawrócenie się jest zupełnie szczerem...

O ile wiem, to my w naszej pracowni społecznej nie posiadamy tak ostrych odczynników, któreby z sumienia p. K. tę czarną plamę wywabić mogły zupełnie: sądzę jednak, że społeczeństwo polskie, nie składając w jego ręce żadnych mandatów przedstawicielstwa, przypuści go chyba do skromnej jakiejś pracy na wspólnym zagonie: pan Kozubowski rozbraja — pokorą.

Nieszczęśliwy Teatr Rozmaitości o mało, że nie stał się pastwą płomieni *po raz drugi*. Ponieważ piekarnia p. Janowskiego nie mogła już spełniać swego posłannictwa, więc wyręczyli ją subjekci handlu Boqueta. Czy jednak ci ostatni zostaną wyrzuceni z gmachu teatralnego, wątpię bardzo, gdyż na nieszczęście nic się prawie nie spaliło, oprócz kilku poduszek i stołków, a wobec braku wyraźnych wskazówek niebezpieczeństwa trudno jest przedsiębrać środki ostrożności. Drugi pożar teatru przestraszył mię więcej, niż pierwszy. Obawiałem się, że niektóre gazety nasze zaczną znowu *à propos des bottes* zamieszczać sążniste artykuły z historyi instytucyj teatralnych w Chinach i Paragwaju, i że wskutek tego będziemy przez długi czas pozbawieni pożywnej strawy o „katarze kiszek hr. Chambord" i „czułych małżonkach" ze Starego-miasta.

Obawa moja była płonną: uwagę prasy zajęła bardzo poważna sprawa, jaka się toczyła przed kratkami tutejszych sądów. Sprawę tę znacie zapewne, czytelnicy. Widmo jej błąka się po naszych gazetach już to jako „żyjący nieboszczyk," już też jako „sfałszowanie polisy asekuracyjnej." Działo się to na głębokiej prowincyi, gdzie prostodusznych mieszkańców partykularza nikt nie śmiałby posądzić o tak wyrafinowaną zdolność do „spekulacyi." Oprócz zwykłych, prowadzących takie interesy aferzystów, udział w niej przyjmowali dwaj uczniowie Eskulapa i jedna—sutanna. Ponieważ przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeń upewnił na sądzie tylko prokuratora, że proces ów nie rzuca światła na „całe małomiasteczkowe społeczeństwo," więc zapewnienie to żadnego publiczysty nie obowiązuje. Co do mnie, to mocno jestem przekonany, że ani p. Kalasanty, łapiący spokojnie muchy na rynku miasteczka, ani pani Agata — najszanowniejsza połowica miejscowego artysty od butów — osobiście w całej tej brudnej akcyi rąk nie umaczali. Ta jednak okoliczność nie zamyka mi oczu na „rzucanie światła." Przeciwnie. Podobne szwindle i matactwa zanadto się jakoś zagnieździły u nas, abyśmy społeczeństwo nasze samymi komplimentami mieli karmić. Okres powierzchownego patryotyzmu już się skończył; dla zaznaczenia swej odrębności, powinniśmy się postarać o coś więcej, niż szkaplerzi „panie dobrodzieju." Są kraje, w których cudzoziemiec - polak, dla wielkiej swej uczciwości, ma pierwszeństwo w zajmowaniu posad prywatnych przed tubylcami. Czyż pozwolimy, aby zaraza „nadużyć" i „sprzeniewierzeń" pozbawiła nas tego zaszczytu?

Najbardziej gorzki wyrzut powinniśmy posłać pod adresem jednego z dwu wspomnianych lekarzy. Zamiast tego jednak, zadam mu jedno pytanie: czy to prawda, doktorze, że ci *prokurator* mówił coś o szlachetnych tradycyach *naszego* uniwersytetu? Księdza, który wiernym będąc zasadzie o „celach i środkach," wziął pieniądze na „dobry cel" jakiś, obwinić należy tylko o zbyteczne poddawanie się wpływom upajających trunków i... istot.

Na zakończenie—jeden miły obrazek, skopiowany w Ogrodzie Saskim. Rzuca on również światło na społeczeństwo, ale wielko-miasteczkowe.

Chłopczyk lat 8 do takiegoż: Kawalerze, baw się ze mną w konie!

Zagadnięty. Mój ojciec był ex-obywatelem, a twój?

— Mój... mój jest tylko obywatelem, ale to nic!

Ex-obywatelstwo musiało uchodzić w oczach dzieci za najwyższe stanowisko społeczne. Kto je tego nauczył?

My wszyscy do zbytku chlubimy się naszem *ex*...

P. o. P. P.

W PERSPEKTYWIE.

Gawęda dwóch sąsiadów w *Korespondencie Płockim*. — Mój udział w tej gawędzie. — Ewentualne uśmiercenie „juchy." — Komitet sanitarny płocki. — Hygiena mińska. — Samobójstwo ucznia w Kaliszu.

„Dziwnemi mi się wydają pojęcia niektórych literatów, którzy wychowani w mieście i nie znając naszego ludu, zbyt go poetyzują. Porównajmy z sobą dwóch ludzi prostych zupełnie: zagonowego szlachcica i chłopa, a przekonamy się, o ile pierwszy wyższym jest od ostatniego. Wiesz, sąsiedzie, pochodzi to, zda mi się, z przyczyn rasowych?"

Tak mówi sąsiad A do sąsiada B, usiadłszy z nim razem w szpaltach *Korespondenta Płockiego*. Ponieważ jestem z „niektórych literatów," więc pozwolę sobie wtrącić się do rozmowy szanownych ziemian. Zauważę najprzód, że mnie pojęcia niektórych sąsiadów, wychowanych na wsi—dziwnemi się nie wydają. Tłomaczę je sobie właśnie owem *wiejskiem* ich wychowaniem. Przypuśćmy jednak, że sąsiad A ma słuszność. Otóż przed wiekami ludność naszego kraju składała się z rasy „sąsiadów" i rasy chłopów. Sąsiedzi robili częste wyprawy na turka i, przyznać trzeba, dziarską wtedy mieli postawę. Po powrocie do domów wyglądali gorzej. Kłócili się ze sobą na zabój, albo też pili. W chwilach wolnych od jednego z tych zajęć, trudnili się obdzieraniem ze skóry okazów *rasy niższej*. Jedynym poważniejszym wynikiem ich pracy było — dostarczenie memu koledze tytułu do jego felietonów. Kilkowiekowa praktyka na wszystkich tych polach utrwalała coraz bardziej różnice rasowe, z których najgłośniejszym był — cechujący szlachtę *honor rycerski*. Odznaczał się on wielką krzykliwością i fantazyą, często szlachetnością a najczęściej *wiejskiem wychowaniem*. Ale pewnego dnia wzięli aniołowie rycerskość do swojej chwały, a potomkowie Abrahama do swojej kieszeni zabrali dukaty — wszystkie, nawet „z matką boską." Honor więc rycerski coraz częściej dostawał kataru, a pijatyki musiały ustąpić miejsca skromnemu preferansowi. Jednej tylko pracy można się było oddawać, jak dawniej — obdzieraniu ze skóry. Przyszła jednak chwila, kiedy duch św., wprawdzie nie w postaci ognistych języków, lecz ekonoma z nahajką,

odebrał „sąsiadom“ i tę ostatnią gałąź przemysłu i głowę ich oświecił. Zaczęli oni wtedy pracować uczciwie i myśleć o wysmarowaniu oliwą skóry poddanych. Okazało się jednak, iż powłoka ta, tylekroć obdzierana, okryła się po odrośnięciu igłami i kolcami... Rasa niższa znała dwie tylko tradycye: ciężkiej, bydlęcej pracy i ucisku, a „sąsiedzi“ najlepiej chyba wiedzą, jak trudno jest zapomnieć o tradycyach nawet wtedy, kiedy pamięć ta, oprócz szkody, nic społeczeństwu nie przynosi. W tem właśnie tkwi tajemnica różnic rasowych między chłopem i zagonowym szlachcicem. Ten ostatni sprawiedliwiej nazywaćby się mógł szlachcicem *ogonowym*, gdyż miejsce jego zwykle było w ogonie orszaku jasnego pana; ale przeciw bolesnym operacyom zasłaniały go przywileje—stąd mniejsza niechęć do „sąsiadów.“

Sąsiad B. zwalczając poglądy swego współgawędziarza, sam wpadł w złudzenie. Przypuszcza on, iż oświata usposobi w przyszłości różowo rasę niższą względem „sąsiadów.“ Nie, zacny ziemianinie, istotna przyczyna złego nie leży w braku elementarzów i złotych ołtarzyków; tkwi ona głębiej. Oświata pomoże nam o tyle, że przyczynę tę wyświetli i poda środki do jej usunięcia.

Co prawda, to cechy rasowe „sąsiadów,“ wyrósłszy na gruncie łatwego używania, musiały przy zmienionych warunkach z nową ujawnić się siłą. Na nieszczęście od czasu do czasu ciemni chłopi ulegają cywilizacyjnemu wpływowi jasnych panów, i ulegają w tym właśnie kierunku, który świadczy o silnie już rozwiniętem współzawodnictwie ras.

Oto dowód.

Do jednego z sądów gminnych w powiecie łęczyckim zgłosiło się niedawno kilkunastu włościan. Oskarżony, także włościanin, posiadacz 38 morgów gruntu, cieszył się znacznym w okolicy kredytem i zaufaniem. Korzystając z jednego i drugiego, napożyczał od sąsiadów dużo pieniędzy; idąc następnie za głosem pokątnego doradzcy, przepisał swoją kolonię na imię brata i ogłosił upadłość... U ras wyższych, miejskich i wiejskich, operacya podobna nazywa się dobrym interesem, ale ktoby się spodziewał, iż nazwa taka i ciemnemu chłopkowi obcą nie była. W sądzie, dokąd go wezwano, nic już nie można było zrobić na korzyść oszukanych; próbował więc sędzia zmiękczyć przemową zatwardziałe serce spekulanta. Ten jednak, wysłuchawszy perory, zapytał:

„A bez cóż to chłopu nie wolno takiego „interesu“ zrobić, kiej pan z sąsiedztwa rychtyk tak samo się pokierował?..“

Rzeczywiście. Pozwólcie małym przyjść do was, gdyż i oni chcą także robić „dobre interesy...“

Obżałowani wierzyciele nie dali jednak za wygraną. Wysłali oni do chytrego chłopa swoich parlamentarzy z uprzejmą obietnicą, że „uśmiercą juchę,“ jeżeli im nie odda pieniędzy. Jest więc nadzieja, że będę musiał znowu pisać o *kłonicach*.

Municypalność płocka postanowiła również uśmiercić wszystkie miejscowe „juchy.“ Szkoda tylko, że sposób egzekucyi zagraża bezpieczeństwu najspokojniejszych nawet obywateli. Przed niedawnym czasem, dla zbadania hygienicznych warunków tego grodu, wysadzona była komisya sanitarna. Członkowie jej o hygienie wiedzieli tylko tyle, że składa się ona z 4-ech samogłosek i 3-ch spółgłosek, a prezes komitetu słyszał od profesora szkół miejscowych, że wyraz ów wzięto z języka greckiego. To też owoce obrad były stokroć gorsze od wszelkich, doprowadzających do samobójstwa, studyów nad gramatyką grecką. Postanowiono jednogłośnie, aby pomyje, które mieszkańcy miasta wylewali przedtem do rynsztoków w różnych porach dnia i nocy, aby pomyje te zbierać przez cały dzień w osobne beczki i wylewać potem wieczorem, jednocześnie ze wszystkich domów. Ponieważ jeszcze przed powołaniem komisyi—płyny organiczne posiadały własność gnicia, ponieważ dalej posiedzenie hygienistów płockich nie mogło zmienić tej własności ciał organicznych—więc teraz wieczorem cały Płock bywa literalnie nawodniony potokami cuchnącej cieczy... Troskliwa policya, której „zakazano“ poprawiać błędy „naczelników,“ pilnie przestrzega, aby płoczczanie nie zapominali przygotowywać dla swoich płuc hygienicznej na noc atmosfery. W dzielnicach żydowskich dobroczynne beczki upewniły mieszkańców o bliskiem przyjściu Antychrysta, gdyż koniec świata jest tam dla każdego widoczny...

Bardziej dbałymi o swoje zdrowie są mieszkańcy Mińska. Przed kilku tygodniami rozeszła się była po mieście tem pogłoska, że w miejscowej rzece, Świsłoczy, kąpać się nie można, gdyż woda jej będzie kwitła (?), a wszak wynikiem kwitnięcia wody, jak wiadomo z magii, jest... czarna ospa. W białoruskim grodzie powstał lament ogólny: właściciele miejscowych łazienek zapytywali siebie wzajemnie, jaki jest „najlżejszy“ sposób samobójstwa, a kaplica św. Felicyana, patrona miasta, przepełniona była codziennie amatorami kąpieli, którzy błagali niebo o zesłanie cudu, o odwrócenie klęski. Modłów ich wysłuchano: nad Świsłoczą ziścił się cud niezawodny, gdyż „ani myślała“ zakwitnąć. Głównym jednakże wysłannikiem Opatrzności był miejscowy policmajster, który na rogach ulic kazał rozlepić ogłoszenia, opiewające, iż wszelkie pogłoski o czarnej ospie i o kwitnięciu wody są na teraz fałszywe. „Jak to dobrze, że p. policmajster „nie kazał“ Świsłoczy kwitnąć“ — powtarzały sobie miejscowe kumoszki, uwalniając się przed kąpielą od zbytecznej garderoby. „At, gadacie kumo, a ja wam mówię, że to wszystkoby nic nie pomogło, *tyle że* (tylko że) my z Antoniową *dali* na mszę do św. Felicyana.“

Inna, gorsza od czarnej ospy, choroba zaczyna teraz grasować śród naszej młodzieży szkolnej. Mówię o zarazie samobójstwa. Ostatnią jej ofiarą był znowu jakiś uczeń gimnazyum w Kaliszu. *Gazeta Lubelska* przyczynę złego widzi w *braku religii* młodego pokolenia. *Brak* jest przyczyną *negatywną*, ale czy nie ma jakichś *pozytywnych*?

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 1º lipca.

Wybory do sejmu czeskiego wypadły nadspodziewanie dobrze dla stronnictwa narodowego. Czesi rozporządzają 167 głosami; mają więc zapewnioną większość potrzebną do przeprowadzenia reform prawodawczych. Dotychczas dwa razy tylko i to zawsze na bardzo krótki czas autonomiści byli w większości. Marszałkiem sejmu mianowany został książe Jerzy Lobkowicz, przedstawiciel t. z. historycznej szlachty, a zastępcą jego dr. Waldert niemiec.

Zwycięstwo nie upoiło czechów: gazety pragskie wykazują owszem wiele taktu i umiarkowania; ale niemcy nie mogą uspokoić się po przegranej. Gdy przy otwarciu sejmu książe Lobkowicz wygłosił mowę po czesku, niemieccy posłowie nie chcieli wstać z miejsc i wciąż wołali: nie rozumiemy! Manifestacye tego rodzaju żadnych korzyści nie przynoszą a powiększają tylko wzajemne rozdrażnienie.

Daremnie jednak spodziewają się niemcy, że przeciwnicy ich nadużywać będą swej przewagi: czesi pragną jedynie usunięcia nadużyć i uregulowania wzajemnych stosunków dwu narodów na zasadach równouprawnienia.

Ugoda rządu niemieckiego z Watykanem kręci się wciąż w zaczarowanem kole. Po uchwaleniu przez parlament praw kościelnych zdawało się, że porozumienie się jest bliskiem, aż oto Kurya ogłasza notę, w której dowodzi, że układy powinny i mogą być jedynie prowadzone w Rzymie i że bez sankcyi papieskiej nie mają żadnej wartości. Rozumie się, iż rząd pruski nie pozostał dłużnym odpowiedzi. *Nord. Allgemeine Zeitung* zamieściła notę półurzędową, natchnioną przez kanclerza. Brak chęci pojednawczych ze strony Kuryi — powiada gazeta — zniewolił rząd do działania pospołu z reprezentacyą ludu, aby na własną rękę usunąć, bez niebezpieczeństwa dla państwa, wszystkie niedogodności, jakie cierpi ludność katolicka w dziedzinie kościelnej. Rząd wiedział, że jego postępowanie nie było pożądanem dla Watykanu; nie zdziwiło go też jawnie okazane szyderstwo i lekceważenie nowej ustawy. Jest to znany manerw, wykonany w celu uchylenia się od wzajemnych ustępstw. „Przestarzałe wykręty dyplomatyczne —takie, jak przejęte ze zwyczajów kupieckich upatrywanie różnych wad w towarze na sprzedaż wystawionym, a należące do starych tradycyj Kuryi rzymskiej, są zbyt przezroczyste, aby mogły wywierać wpływ na dalszą postawę Prus.“ „Pełna pretensyi i uszczypliwości krytyka, wyrażająca się w tej nocie, ten tylko sprawić może skutek, że zraża Prusy i odwiedzie je od dalszych kroków pojednawczych; będzie bowiem nowym dowodem, że niepodobna Kuryi papieskiej zadowolić“ —na zakończenie, grozi organ księcia Bismarka.

W Frohsdorfie dogorywa hrabia Chambord, ostatni przedstawiciel starszej linii Burbonów francuskich. Po bezpotomnej jego śmierci, mniemane prawa do tronu przechodzą na rodzinę orleańską. Wątpić jednak należy, czy praktyczny hrabia Paryża wystąpi w roli pretendenta; w takim bowiem razie czeka go niechybnie, a może i wszystkich Orleanów wygnanie z granic Francyi. Dzisiejszy rząd francuski wichrzyć pretendentom nie pozwoli i przed środkami surowości nie cofnie się.

Do Bulgaryi powraca smutnej pamięci generał Ernroth i zająć ma miejsce Sobolewa. Mężny ten finlandczyk odznaczył się niegdyś wykonaniem zamachu stanu, znoszącego konstytucyę bulgarską, co obecnie przynosi w tece, niewiadomo — w każdym razie napewno nic dobrego.

W Albanii Hafiz pasza próbuje doprowadzić układy z powstańcami do pomyślnego skutku; nie bardzo mu się wszakże powodzi. Albańczykom sprzykrzył się widocznie pierwotny kij turecki i pragną spróbować gwałtem cywilizowanej szpicruty austryackiej; wysyłają więc adresy do Wiednia i proszą o opiekę. Duchowieństwo katolickie również usilnie agituje na korzyść Austryi.

Z Armenii rosyjskiej donoszą, że policya miejscowa w tym kraju, zwłaszcza w Erywaniu „pilnie poszukuje członków tajnego stowarzyszenia, którego celem jest wskrzeszenie niepodległego państwa armeńskiego. Gorliwe poszukiwania nie wydały dotąd jednak żadnych rezultatów.

CUDZE GŁOSY.

De lana caprina. Niestrudzone w śledzeniu wrogich Rosyi żywiołów, *Nowoje Wremia* odkryło polską intrygę... na Kaukazie! Ktoby pomyślał, czytając w gazetach sążniste artykuły o kwestyi armeńskiej, że to my właśnie wywoływaliśmy tę burzę.

„Jeszcze rządów ks. Woroncowa zaczęli się pojawiać na Kaukazie polacy, a liczba ich wzrosła, wskutek napływu zesłańców i skazanych do służby wojskowej. Po odcierpieniu kary wielu pozostało na Kaukazie i wstąpiło do służby, bądź jako inżenierowie, bądź jako lekarze lub urzędnicy. W ostatnich czasach po uwłaszczeniu włościan zakaukazkich i zaprowadzeniu nowych instytucyj sądowych, liczba urzędników polaków szybko się zwiększyła, tak, że żywioł polski pozyskał wpływ na politykę Kaukazu i siły swe ogromnie rozwinął.

Wpływ ten i dawniej był znaczny. Polacy starali się głównie o propagowanie wśród ludności kaukaskiej pojęć autonomicznych. Armeńczycy okazali się najpodatniejszymi dla celów polskich, jako zamożni, przezorni i poczęści katolicy, których zatem zawsze może obronić Kurya rzymska. Najpierwszą i główną robotą polaków na Kaukazie było niedopuszczenie i utrudnianie osiedlenia się rosyan w tych stronach bo rozumieli dobrze, że jeżeli rosyanie tam się osiedlą, najprostszym, najistotniejszym, najszczerszym sposobem kraj się uspokoi, stanie się rosyjskim i da rządowi obfite dochody. Ale polacy potrzebowali wytworzyć tutaj koniecznie kwestyę armeńską, na podobieństwo dręczącej Rosyę w zachodnich krańcach kwestyi polskiej lub baltyckiej!“

Nieprawdopodobne — a jednak prawdziwe!

Ciekawa wiadomość. Korespondent *Nowej Reformy* objaśnia, dla jakich powodów sejm galicyjski nie będzie zwołany na 20 sierpnia:

„Po ukończeniu narad Izby poselskiej Rady państwa, Izba panów miała jeszcze parę posiedzeń i na tych był obecny namiestnik, hr. Potocki. Była już wówczas mowa o terminie zwołania sejmu i został on za wszechstronną zgodą oznaczony na 20 sierpnia. Przypomnicie sobie, że dzienniki podały ten termin dość stanowczo. Tymczasem komitety jubileuszowe, lwowski i krakowski, zaczęły rozwijać coraz obszerniej program obchodu odsieczy Wiednia. To zwróciło uwagę rządu i wywołało obawę zbyt gorących demonstracyj patryotycznych. Skutkiem tego powstała myśl odroczenia sejmu, aby od niego usunąć pokusę wzięcia udziału w obchodzie, a obchodowi ująć przynajmniej tyle uroczystości, ile by mu przybyło z udziału sejmu. Była jedna tylko trudność, a mianowicie, że termin zwołania Rady państwa był wyznaczony na 15 października, a mianowicie minister skarbu przywiązywał wielką wartość do tego terminu, pragnąc, aby raz przecie budżet był uchwalony przed końcem roku. Przemogła jednak „wysoka polityka“ — i odroczenie obu ciał ustawodawczych: krajowego i centralnego zostało stanowczo zdecydowane.“

Ciekawy przyczynek do stańczykowskiej piosenki o tem: „że rząd nam sprzyja.“

Akt skruchy. Redaktor osławionej *Gazety Poznańskiej*, w liście, pomieszczonym w *Dzienniku Poznańskim*, zdemaskował tajemną robotę władz pruskich, dążącą do podburzenia ludu przeciw inteligencyi.

„Z dniem dzisiejszym wystąpiłem z redakcyi *Gazety poznańskiej* i wszelkie z tem pismem zerwałem stosunki, poznawszy jego tendencyę i zadanie, aby podawaniem nieprawdziwych lub nakręcanych faktów historycznych, oraz podniecaniem i podsycaniem złych namiętności lud polski psuć narodowo i moralnie. Lubo byłem naczelnym redaktorem tej Gazety, wskazówki pochodziły z góry, od osób wyżej stojących, a jak sądzę, urzędowem swem stanowiskiem zakrytych zupełnie. Każdy też z moich artykułów był ściśle w rękopiśmie przeglądany i poprawiany.

Z żalem wyznaję, że pisząc dla gazety, gwałciłem moje przekonania.

Okoliczności, które mię zmusiły—literalnie zmusiły—do pracy wbrew mym przekonaniom, mej politycznej i literackiej przeszłości, zostały dziś stanowczo usunięte i dziś też natychmiast złożyłem redakcyę *Gazety pozn.* bez wahania.

Powody, zniewalające mię przed trzema miesiącami do objęcia redakcyi, zostaną wkrótce przezemnie wyjaśnione, a wtedy mam nadzieję, że naród mój zechce je uwzględnić i zapomnieć moje ciężkie, choć po części mimowolne przewinienie.“

W Berlinie 3 lipca 1883. *Kozubowski Feliks.* (E. H. Mallet), były redaktor *Gazety poznańskiej.*

Dziennik poznański dodaje od siebie następujące uwagi:

„Pismo powyższe zamieszczamy, pominąwszy prawny nasz do tego obowiązek, nie bez wzruszenia, jak wyznajemy otwarcie.

Nie może być zaiste z gruntu złym i zepsutym ktoś, co zgrzeszywszy przeciw temu, co uznaje za dobre i prawdziwe—do grzechu swego tak otwarcie i szczerze się przyznaje.

Co się tyczy „ręki, która tym ślepym mieczem kierowała,“ mamy teraz, ma całe społeczeństwo dowód, że domysły nasze i przypuszczenia nie były fałszywe“.

Czy tylko skrucha p. Kozubowskiego jest szczerą? Bo nie pierwszy to już raz zacny ten publicysta żałuje za grzechy, obiecuje poprawę, a potem znów broi.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Kraszewski przewieziony został z Drezna do więzienia Moabit w Berlinie. Aresztowani wraz z nim bracia Konopaccy i major Bohdanowicz zostali wypuszczeni na wolność.

Konkurs. Pierwszą nagrodę na konkursie dramatycznym krakowskim otrzymał W. Rapacki za utwór p. t. *Odsiecz Wiednia*, drugą zaś W. Anczyc.

Prasa polska. *Biblioteka romansów i powieści*, wlokąca mizerny żywot, przeszła na własność p. A. Pajewskiego, wydawcy *Kolców.*

— *Echo muzyczne*, zawieszone od Nowego roku, wychodzić zacznie od 1 października r. b. pod zmienionym tytułem: *Echo muzyczne i teatralne*, pod red. p. J. Kleczyńskiego.

Słowacki po hebrajsku. Przysięgły tłomacz p. M. D. Geschwind, przełożył „Ojca zadżumionych“ na język hebrajski i wydał w Przemyślu.

Państwo na sprzedaż. Karol III, książę Monaco, zaciągnąwszy, co się dało długów, zamierza obecnie sprzedać swoją ojcowiznę rządowi francuskiemu za 10 milionów franków, ale pod warunkiem, że kontrakt, zawarty z domem gry w Monte Carlo, zostanie utrzymany.

Parcelacya. Spółka włościańska zakupiła w powiecie rawskim majątek, mający 88 włók przestrzeni, za 140,000 rs. Połowę należności nabywcy wnieśli zaraz, resztę zaś obowiązali się wypłacić w ciągu lat kilku.

Bibliografia polska. Józef Supiński. *Siedem wieczorów.* Pogadanki o rzeczach pożytecznych. Wydanie 5-e, Warszawa.

— *Biblioteka najc. utw. lit. eur.* Tom 114. Treść: *Dahijszczyzna* T. T. Jeża (koniec), *Komedya ludzka* H. Balzaka (dalszy ciąg).

— Dr. J. Kołaczkowski, *Szczawnica*, zdrojowisko i stacya klimatyczna oraz podręcznik dla chorych tamże udających się (z mapą topograficzną).

— Dr. Bolesław Skórczewski, *Klimatologia Krynicy*, na podstawie spostrzeżeń meteorologicznych w latach 1879—1882 dokonanych.

— Z. Gl. *Marzenia samotnika*, poemat ziemiański.

Bibliografia rosyjska. N. Kruszewskij. *Oczerk nauki o jazykie*, Kazań.

Za młody. Poeta francuski, Franciszek Coppeé, wystąpił jako kandydat do Akademii, ale „nieśmiertelni“ niechętnie nań patrzą, uważając go za zbyt młodego, liczy bowiem dopiero... 41 lat.

Dziennik Słowackiego. W lipcowym zeszycie *Ateneum* znajdujemy nieogłoszony dotąd drukiem fragment spuścizny literackiej po Słowackim. Jest to zbiór aforyzmów, przypowieści, luźnych myśli itd. Dziennik pisany prozą i wierszem odnosi się do tego peryodu życia poety, kiedy zostawał pod wpływem mesyanizmu (1847—1848).

Biblioteka po W. A. Maciejowskim, zawierająca wiele nader cennych dzieł, ma być sprzedana w drodze przetargu, poczynając od sumy 2100 rs.

Epigramat. *Dyabeł* zamieszcza następujący epigramat dowcipnie wyszydzający hasło stańczyków „Przy Tobie N. Panie stoimy i stać chcemy:“

„Stoimy i stać chcemy—mówią już lat wiele,
Ale rząd obojętny jest temu wołaniu,
Bo gdyby był grzeczniejszy—po tak długiem staniu
Mógłby rzec: siądźcie trochę, mili przyjaciele.“

Szlachecka era. Dzienniki rosyjskie szeroko rozpisywały się o początku nowej ery szlacheckiej. Obecnie donoszą, że przerobione z gimnazyów wojennych korpusy kadeckie przyjmować będą przeważnie dzieci szlachty. Pierwszeństwo mają ci, których ojcowie służyli wojskowo.

Mormonizm krzewi się i w Europie. Niedawno wyjechało do Ameryki 671 nowozaciężnych wyznawców tej sekty, większość pomiędzy nimi stanowią szwedzi i norwegczycy.

Agenci austryaccy. Gazety rosyjskie donoszą, że na Podlasiu schwytano kilku agentów wojskowych austryackich, t. j. po prostu szpiegów, którzy zdejmowali plany miejscowości. Znaleziono przy nich dowody winy.

Monopol. Znany spekulant petersburski, właściciel kilku rafineryj, Koenig, zakupił ogromne zapasy cukru, co wywołało znowu podwyżkę ceny. Oberpolicmajster petersburski wystąpił z prośbą do ministra spraw wewnętrznych, o zastosowanie właściwych środków dla ukrócenia monopolistycznych zachcianek pp. cukrowników.

Ojców. Pragniemy kupić Ojców, zawiązuje się nawet podobno w tym celu spółka akcyjna — ale dotąd nie zdobyliśmy się na opis miejscowości i znajdowanych tam wykopalisk. Uprzedził nas w tym względzie uczony niemiecki, T. Roemer, który wydał monografię o zabytkach ojcowskich.

Przekłady. W taniej bibliotece czeskiej: „Ustrzedni knihovna,“ zeszyt po 10 centów wyszły przekłady poetów i powieściopisarzy polskich: *Smutne wesele* Morzkowskiej, *Ułas* i *Marger* Syrokomli, w przekładzie Jana Neczasa, *Ballady* Mickiewicza, powieści prozą Zygmunta Krasińskiego, wreszcie utwory Asnyka, Bałuckiego, K. Zalewskiego itd. A więc lud czeski może czytać i czyta naszych poetów w tanich wydaniach — a nasz lud?

Przemysł. W Częstochowie kilku kapitalistów zakłada fabrykę igieł, podobne fabryki są nader rzadkie w Europie; istnieje tylko kilka w Anglii i w Niemczech, najwięcej zaś igieł wyrabia Ameryka.

Statystyka. W ubiegłym roku umarło w Londynie 58 ludzi—z głodu.

Austryacka procedura. W Balaszana (na Bukowinie) za dług, wynoszący 38 centów wystawiono na sprzedaż grunt włościański oceniony na 81 guldenów. Koszta sądowe od 38 centów wynoszą 14 guldenów!

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Іюля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.